Numer 26. Opł. poczt. opł. rycz. Dnia 23 Czerwca 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Westchnienie młodzieńca.

Chociaż postęp, jak po grudzie,
Lub po twardym kroczy bruku,
Wynaleźli jednak ludzie
Proch bez dymu, broń bez huku.
W tej dziedzinie ciągłe plony,
Rok nie mija bez atutu,
Są już różne telefony
I telegraf jest bez drutu.
Jeśli więc, ku ludzkiej frajdzie,
Ruch w technice nieustanny,
Czemuż, ach, nikt nie wynajdzie
Żeby... posag był bez panny?!



Prawdziwy skarb.

— Pańska żona jest tak piękna, mówił sąsiad do sąsiada, że ile razy na nią patrzę, przychodzą mi na myśl słowa: „I nie wódź nas na pokuszenie".

— Szkoda, że jej pan dobrze nie zna, bo gdybyś ją pan znał, powtarzałbyś na cały głos: „Ale nas zbaw ode złego".



W sklepie bławatnym.

Subjekt (do damy, która zbyt długo namyśla się nad wyborem materjału): Łaskawa pani raczy się zdecydować... gdyż materjał ten może wyjść z mody.

Jak?

— Jakto? I nawet nie broniłeś się, gdy cię Władek publicznie na ulicy po pysku wygrzmocił?

— Ciekawym bardzo, jak? W jednej ręce trzymałem parasol, a w drugiej kapelusz, który mi zleciał z głowy.



Dowiedział się.

P a n I z y d o r, izraelita, który obracał się zwykle w lepszych towarzystwach, przyszedłszy pewnego razu z swoim przyjacielem do pewnej, lepszej restauracji, zażądał wódki, mówiąc: — Proszę mi dać d w a wódki!

Usługujący mu pomocnik zwrócił uwagę, iż mówi się nie dwa, lecz dwie wódki.

— Wszystko jedno, odcina się pan Izydor, dwa, albo dwie, bylebyś pan tylko nalał.

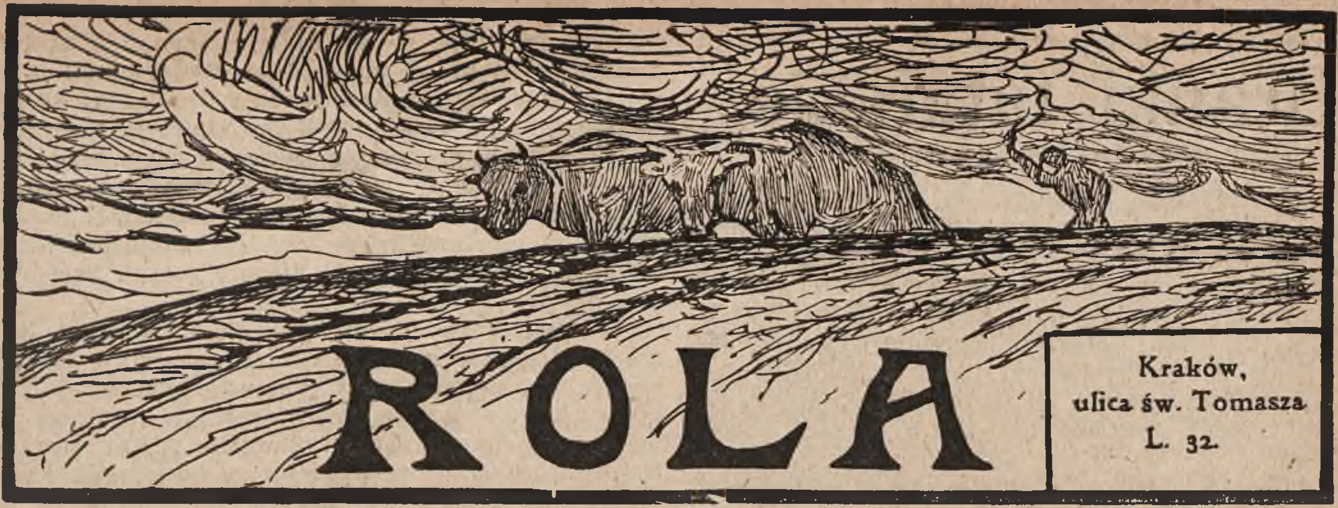
Na szczęście nadchodzi znajomy pana Izydora, znany kpiarz teatralny, który właśnie wstąpił tam, by „zakropić robaka".

Pan Izydor, zobaczywszy go, woła:

— A, jak to dobrze, co ja panu tutaj spotykam!... Mój panie, niech mi pan powie, jak sze właszczywie mówi, bo ja prosiałem temu panu, coby mi dał dwa wódki, to on mi odpowiedział, co mówi sze dwie wódki.

K p i a r z (nie tracąc przytomności umysłu): Mówi się: proszę mi dać trzy wódki, bo i ja się z wami napiję!...

Numer 26. Rok XII. Kraków, dnia 30 Czerwca 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Matka.

Komuż raźniej nie uderzy serce na słowo o matce własnej. Słowo to wielkie, święte. — Matka to symbol wielkiego dostojeństwa, to kapłanka rodziny, wychowawczyni narodu, to męczennica dla przyszłości i jej twórczyni. Cóż jej wynagrodzi chwile poświęcenia, cierpień, nieprzespane noce, łzy wylane nad dziecka kolebką? Jakaż może być nagroda za jej krew serdeczną?! Jest jedna tylko nagroda dla niej, nagroda tak wielka i droga, że dla niej zapomina ona o swojem poświęceniu, o swych tak ciężkich i nieustannych trudach i mękach, a tą nagrodą, to dobre dziecko. Ono samo równoważy, a nawet przewyższa u kochającej matki jej poświęcenie, Jak dobre, prawdziwie swą matkę miłujące dziecię jest jej błogosławieństwem, tak znowu z drugiej strony nic jej bardziej nie boli, żadna łza nie jest dla niej bardziej piekącą od łez wylanych nad dzieckiem zepsutem, krnąbrnem, nieszczęśliwem. Przed każdym człowiekiem są tylko dwie drogi w stosunku do matki, albo ją kochać, jak na to zasługuje, albo wzgardzić jej największą miłością, — i czarną niewdzięcznością jej za nią zapłacić.

Szczęśliwe dziecię, szczęśliwy człowiek, którego poranek życia ochraniały kochające matki ręce. Miłości macieryńskiej nic zastąpić nie zdoła. Lecz też pamięć o matce powinna być dla każdego świętą, ona powinna być tą gwiazdą przewodnią naszego postępowania i życia. Z pamięcią o matce swej żyjąc, powinniśmy zawsze tak postępować, jak gdyby ona przy nas była, chociażby ona już może i w krainie przyszłości na nas oczekiwała. Pamiętając o matce swej, musimy zawsze tak żyć, by trudy jej i prace nie obróciły się na marne, lub też co gorsze, nie stały się źródłem zła dla innych, lecz by życie nasze również pełne było poświęceń, by serdeczną miłość matki oddać znowu przyszłości. Mogłoby się jednak zdarzyć, że komuś matka wydałaby się przykrą; i wówczas nie przestaje ona być matką jego, i wówczas należy jej oddawać cześć należną i miłować ją, a możliwe wady jej i błędy cierpliwie znosić.

Posłannictwo matki, a zwłaszcza matki chrześcijańskiej jest dostojne, lecz pełne poświęceń i niebezpieczeństw. Do walki z nią stają liczni i silni wrogowie, utrudniający jej spełnienie zaszczytnych obowiązków. Żyjemy w czasach, w których najpiękniejsze uczucie ludzkości, miłość splugawiono, — mówi się o niej często z lekkim uśmiechemi brudnemi żarcikami, lub też szydzi się z niej cynicznie. Te same słowa można zastosować do macierzyństwa. Dalej zgubny materjalizm, samolubstwo, chęć użycia życia za wszelką cenę, niechęć do poświęceń, złe przykłady, współpubliczne zabawy nieskromne, trucizne w serca matek sączące książki i czasopisma, upadek moralności społecznej, zmysłowość ludzka — stają do walki i utrudniają matce gorliwe spełnianie jej zaszczytnego i wielkiego posłannictwa.

W spełnianiu więc swych obowiązków matka musi oprzeć się o pomoc silniejszą, o pomoc Boga. W religji dopiero znajdzie drogę koniecznej cierpliwości, ona nauczy ją roztropności, wychowania dzieci i innych cnót, doda jej sił, uświęci jej dostojeństwo. Religja nauczy ją, że chociaż kocha swe dzieci, nie może dziecku dozwolić na kaprysy, że ono nie powinno być dla niej bożyszczem, czy zabawką. Bóg obdarzył ją dzieckiem, by wypełniło pustkę jej życia, by jej dało radość miłości, by kiedyś samo pracowało dla lepszej przyszłości społeczeństwa.

Jeśli w ten sposób potrafi matka wychować swe dzieci, spełni godnie swe ciężkie, lecz zaszczytne posłannictwo, zasłuży sobie na wdzięczność samego dziecka, społeczeństwa i wielką nagrodę u Boga.

Jan Pelczar.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

Na bezczynnem wysiadywaniu przed namiotem, gdyż dalszych wycieczek czynić było niewolno, upływał dziewczętom dzień za dniem. W ten sposób zbliżał się ku końcowi ten tydzień, wyznaczony im na odpoczynek, po którym miały nastąpić tortury, męka i hańba. Od czasu do czasu przychodził Jussuf, ale choć stale pożerał wzrokiem Baśkę i niemal tylko z nią rozmawiał, nawet jej nie chciał udzielić rady, w jaki sposób mogłaby przyjść z pomocą towarzyszkom.

Zdawało się nawet, że nie rozumiał okropności losu, jaki był pisany nieszczęśliwym brankom.

— I cóż im — powiadał — będą żonami potężnego i bogatego Achmeta. Na niczem im zbywać nie będzie. Od czego je bronić?

A gdy mu Baśka tłomaczyła całą ohydę wielożeństwa, uśmiechał się i zapewniał, że to przecież tak dobrze być musi, kiedy tak jest i kiedy Mahomet nie postanowił inaczej. Ale dodawał zaraz, że co dla innych jest dobre, to dla niego nie przedstawia żadnej wartości i że Baśka tylko u niego jedną będzie.

A kiedy chciał przyspieszyć termin tej zgody Baścynej, na którą oczekiwał, ta odsuwała upragniony dla niego dzień wszelkimi sposobami i jakoś jej się to udawało.

Ale poza tem nic. Nie widziała ani dla siebie, ani dla swych towarzyszek żadnego ratunku. Przez pierwsze dni łudziły się jeszcze nadzieją, że przyjdzie Stach, że przyjdą Lipkowie i oswobodzą je, ale gdy tydzień dobiegał końca, straciły zupełnie nadzieję.

Aż wreszcie skończył się ten tydzień próby i męki. Siódmego dnia wieczorem weszła do namiotu Węgierka Sumita i oznajmiła Marcysi, że Achmet wzywa ją do siebie.

Ale Marcysia ani drgnęła.

Rzuciła się ku niej Sumita i zaczęła ciągnąć oburącz. Marcysia oparła się nogami o ziemię i nie dała się ruszyć z miejsca. Poskoczyły jej na pomoc trzy pozostałe branki i, ująwszy w pół, przytrzymywały przy sobie, odrywając równocześnie pazury od rąk dziewczyny.

Spostrzegła Sumita, że sama nic nie poradzi. Puściła ręce Marcysi i wybiegła z namiotu.

Skorzystała z jej nieobecności Baśka i wsunęła jej w dłoń sztylet otrzymany od Jussufa.

Ledwie Marcysia zdołała go ukryć za stanikiem, rozchyliła się płachta wejściowa namiotu i do środka wszedł straszny, czerwony, z ognistym wzrokiem, jak byk rozjuszony, sam Achmet.

ROZDZIAŁ XI.

Wilk i owce.

Śmiertelna trwoga opanowała dziewczęta na widok wchodzącego Achmeta. Marcysia rzuciła się ku swym towarzyszkom, jakby pod ich opiekuńczemi skrzydłami chciała szukać ratunku. Zasłoniły ją swemi ciałami, drżącemi z przerażenia, jak liść osiki.

Achmet rzucił na nie piorunujący swój wzrok, a podszedłszy ku nim kilka kroków, wybełkotał:

— Pójdź! Daremny upór... wolą moją jest, abyś była mi żoną i będziesz nią! Wszystkie będziecie...

Marcysia nie odrzekła nic.

Achmet rzucił się ku niej i szarpnął ją za rękę z całej siły. Pomimo oporu dziewczyny, zdołał ją na chwilę oderwać od towarzyszek i wywlec na środek namiotu. Ale w tejże chwili przyskoczyła ku niemu Baśka, poczęła go szarpać za ręce i odrywać od rąk Marcysi. Pomagały jej Ksenia i Hanusia. Achmet, widząc, że nie zmoże połączonych sił, skinął na stojących za nim ordyńców, a ci, jak żbiki, rzucili się na branki, odwlekli je od niego i poczęli krępować powrozami.

Powstał krzyk i szamotanie się w namiocie. Jeszcze raz wyrwała się Baśka z rąk oprawców i pobiegła ku Achmetowi, który ponownie pochwycił Marcysię i ciągnął ją za sobą. Ale zabiegła jej drogę Tamara i silnem pchnięciem odrzuciła w kąt namiotu. Hanusia i Ksenia skrępowane już tymczasem leżały na wojłoku. Baśka zwątpiła, czy zdoła cokolwiek pomóc nieszczęśliwej Marcysi. Przyszedł jej na myśl Jussuf, poczęła więc wołać go na głos cały.

W sam czas zjawił się, aby uchronić ją od poniewierki. Błysnął oczyma ku ordyńcom, a kiedy jeden z nich chciał ująć dziewczynę, jednem pchnięciem odrzucił go kilka kroków od niej i swem ciałem zasłonił.

— Jussuf! ratuj ją, ratuj nas! — błagała Baśka.

Ale Jussuf nie zwracał uwagi na jej prośby. — Tamte nie obchodziły go nic; tamte były Achmetowe, więc Achmet mógł czynić z nimi, co mu się podobało. Od Baśki mu tylko wara, bo Baśka nie Achmeta, ale jego. Zasłonił ją tylko swem ciałem i nie dawał do niej przystępu, ale o przyjściu z pomocą pozostałym ani nie myślał. Zresztą bronić jej nie było potrzeba, gdyż nikt jej nie napastował. Hanusia i Ksenia leżały powiązane, Marcysię Achmet wywlókł już z namiotu. Próbowała Baśka biec za nią z pomocą, ale Jussuf nie puszczał jej.

— Nic jej nie pomożesz, a sama narazisz się na gniew Achmeta, który straszny jest, gdy mu kto wejdzie w drogę.

Baśka za całą odpowiedź rozszlochała się, a choć chciała łzy powstrzymać, aby nie okazać Tatarom swej słabości, przecież na nic się to nie zdało. Jasną rosą spływały po twarzyczce, spadały na ubranie, aby następnie zmieszać się z prochem ziemi.

A tymczasem Achmet zawlókł Marcysię do swego namiotu. Ordyńcy, którzy za nim postępowali, aby być gotowymi na każde jego skinienie, chcieli ręce zrozpaczonej dziewczyny skrępować sznurami, ale Achmet nie zezwolił.

— Precz! — krzyknął — Dam ja sobie sam z nią radę!

Marcysia błędnym okiem szukała drogi do ucieczki, ale Achmet stanął u samego wejścia do namiotu, a podparłszy się pod boki, mówił:

— Nie chcesz być żoną moją po dobrej woli, to będziesz po niewoli. Nie takie były, a uległy. Spytaj Marjam, spytaj Tamary! Jam tu pan! mnie słuchać musisz!

Odsapnął chwilę, a potem, zmieniwszy ton z groźnego na łagodny, ciągnął dalej:

— Słuchaj dziewczyno! Z wszystkich was tyś mi najlepiej przypadła do serca, — ciebie uczynię pierwszą w haremie moim. Będziesz innymi władała, a one słuchać cię muszą. Obsypię cię dostatkami...

Mówiąc to, podszedł w kąt namiotu i począł wyciągać najróżnorodniejsze kosztowności i pokazywać je Marcysi.

— Wszystko to będzie twoje, wszystko...

Marcysia rozpoznawała w niektórych kosztownościach złupione w Jampolu. Serce ścisnęło się jej wielkim żalem, przyszły jej na myśl dni minione. — Przed oczyma duszy stanęli jej i państwo Stawscy i Jampol cały i jego mieszkańcy i to wszystko, co tam tak niedawno pozostawiła.

Jakaś nienawiść, jakiej nigdy nie doświadczała, rozpaliła biedne serduszko dziewczyny.

— Nie, nie! Raczej zginie, aniżeliby się miała poddać dobrowolnie zalecankom mordercy jej rodaków.

Sięgnęła za kaftanik i niespostrzeżenie wyciągnęła ukryty tam sztylet. Ścisnęła go mocno w dłoni, ukrywając ją wraz z jedynym jej teraz przyjacielem w fałdach sukienki.

— No i cóż? Namyśliłaś się, — ozwał się Achmet, pochowawszy kosztowności z powrotem na dawne miejsce. — Mam nadzieję, że tak.

Rzekłszy to, zbliżył się znów do Marcysii chciał ją ująć za rękę.

Odtrąciła go.

— Precz! Nie zbliżaj się do mnie, jeżeli ci życie miłe!

Roześmiał się Achmet jakiemś piekielnem wyciem i jak furjat rzucił się ku dziewczynie.

— Ja cię nauczę posłuszeństwa — zawył i pochwycił jej dłonie żelaznym uściskiem.

Marcysia, dobywszy jednak ostatka swych sił, uwolniła swą prawicę, w której dzierżyła sztylet, wręczony jej przez Baśkę. Nim Achmet zdołał się spostrzec, już ostre żelazo zatopiło się w jego ramieniu powyżej łokcia.

Ryknął, jak raniony lew, i odskoczył od dziewczęcia. Wpatrzył się w nią i czekał na stosowną chwilę, aby się rzucić ponownie na swoją ofiarę. — I tak stali naprzeciw siebie: niewinna owieczka i wilk krwi chciwy.

Po ramieniu Achmeta spływała krew jasną strugą. To rozdrażniło go jeszcze bardziej. Wzburzenia swego nie mógł hamować już więcej. Rzucił się więc na swą ofiarę, aby odebrać jej mordercze narzędzie. Runął na nią, a nim się Marcysia spostrzegła, już trzymał ją w pół i gniótł w swych żelaznych uściskach. Ruchy dziewczyny były skrępowane, pomimo to, o ile mogła, uderzała na oślep sztyletem, gdzie się tylko dało. Wprawdzie razy nie były niebezpieczne, ale przecież Achmet odczuwał je boleśnie. Widział, że walkę będzie musiał skończyć radykalnie. Wgniótł więc łokcie w boki Marcysi, a dłonie począł przysuwać ku jej szyji. Objął ją wreszcie palcami, jak polip obejmuje mackami swą ofiarę, a objąwszy, począł zaciskać je coraz bardziej i bardziej. Z ust Marcysi wydobyło się najpierw bolesne rzężenie, ręce jej opadły bezwładnie, a wreszcie z ust wypłynęła obfita struga krwi.

Choć już duch dawno uleciał z ciała męczennicy, Achmet nie puszczał swej ofiary, jakby się chciał rozkoszować dokonaną zbrodnią.

Nareszcie podniósł się z ziemi.

— Szyrin! — wrzasnął, a gdy przybiegła przywołana, rozkazał:

— Przyprowadzić tu tamte! Niech widzą, co je czeka, jeżeli woli mej będą się sprzeciwiały.

Wyszła Szyrin i poleciła przyprowadzić skrępowane Hanusię i Ksenię, za którymi postępowali również Jussuf i Baśka.

Na widok martwej towarzyszki niedoli Hanusia zemdlała, Ksenia wybuchła takim szlochem, że czas długi nie mogła się uspokoić, jedna tylko Baśka zachowała hart umysłu i nie dała po sobie poznać tej przeogromnej rozpaczy, jaka nurtowała jej biedne serce.

— Psy jesteście! — krzyczała — psy i łotry takie, jakich na świecie niema! Pomsta Boża was czeka za niewinną ofiarę.

Miotała się i rzucała obelgi w twarz Achmetowi, który stał wycieńczony stoczoną walką i znacznym upływem krwi. A potem zwróciła się do Jussufa i podniósłszy piąstki ku jego oczom, poczęła wołać:

— Jussuf! Jussuf! Jeżeli nie pomścisz krwi tej niewinnej, znać ciebie nie chcę, słowa do ciebie się nie odezwę, wzgardę czuć będę do ciebie na wieki.

A Jussuf słów tych w żaden sposób zrozumieć nie mógł. Nie mógł zrozumieć, czego chce od niego ta dziewczyna. Wszak Marcysia była Achmetowa, więc cokolwiek uczynił z nią, miał do tego prawo to uczynić. Zadusił ją? Widocznie tak trzeba było i taka była jego wola. A jeżeli taka była jego wola, to dobrze się stało, co się stało.

Tak myślał Jussuf w głębi swego tatarskiego serca, ale myśli swych nie chciał zdradzać przed Baśką, która i takby go nie zrozumiała.

Achmet, choć zwycięzcą był w tej nierównej walce, nie czuł się zadowolony. Żal mu było Marcysi nie jako umiłowanej istoty, ale jako cennego towaru, którego gdyby nie użył na własne cele, to przecież mógł doskonale spieniężyć. Zły był sam na siebie, iż gniew swój, a względnie samoobronę posunął za daleko i dziewczęcia życia pozbawił. Dyszał więc ciężko i z ócz pioruny rzucał, szukając ofiary, na którejby gniew swój mógł wyładować.

Nawinęła się mu Sziryn. Zdawało jej się, że wykorzysta wzburzenie Achmetowe i na względy jego zasłuży. Zbliżyła się więc ku niemu i poczęła się łasić, jak samica, pieszczot chciwa. Ale Achmet zamiast wdzięczny jej być, że w chwili porażki staje przy jego boku, pchnął ją uderzeniem pięści w pierś jej zeschłą, aż potoczyła się w kąt namiotu.

— Precz wiedźmo! — wrzasnął — Precz wy wszystkie przechodzone graty! Niech oczy moje was więcej nie widzą!

Sziryn podniosła się z ziemi, a widząc, że jej zabiegi na nic się nie zdały, zamierzała namiot opuścić, ale Achmet powstrzymał ją skinieniem ręki:

— Nie odchodź — zawołał. — Przywołajcie tu Mirjam i Mirę — dodał, zwracając się do ordyńca, który też natychmiast pospieszył wykonać rozkaz swego pana.

Po chwili weszły do namiotu Mira i Mirjam, drżąc całe, gdyż widocznie ordyniec zdążył im opowiedzieć już całe zdarzenie. — Lęk przejmował je ogromny, gdyż obawiały się, że Achmet cały swój gniew zechce na nich wyładować. A mogły się tego obawiać, gdyż znały dobrze zapalczywość Achmeta i plecy ich liczyły dość blizn, które pozostały po razach przez niego samego lub na jego rozkaz zadanych.

Stanęły lękliwe u wejścia do namiotu i czekały na rozkaz swego pana. Ale Achmeta sercem złość nie ku nim pałała. On wściekał się na te branki podłe, które ośmieliły się uknuć spisek na niego, które ośmieliły się sprzeciwić jego woli, które, gdyby się im to było powiodło, mogły go nawet życia pozbawić. — Jedna z nich została już ukarana, inne muszą odpokutować czyn swój niebywały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Tobie dam klucze Królestwa Niebieskiego!"



Pierwszy rzut oka na powyżej umieszczony obrazek daje nam poznać, co on przedstawia. Widzimy na pierwszym planie Pana Jezusa z podniesioną jedną ręką ku niebu, z drugą zaś wskazującą na klucze, ofiarowane św. Piotrowi, który klęczy u stóp Jezusa. Poza nimi zgromadzeni są Apostołowie i Matka Najświętsza. Jest to chwila, kiedy Pan Jezus, oddawszy klucze św. Piotrowi, jako symbol władzy, mówi do niego: „Tobie dam klucze Królestwa Niebieskiego".

I rzeczywiście Pan Jezus dał te klucze do bram niebieskich św. Piotrowi i jego następcom. Nie trzeba jednak myśleć, że były to w rzeczywistości jakieś klucze żelazne, jakie my znamy, ale klucze owe oznaczają władzę, jaką otrzymał św. Piotr i z nim wszyscy kapłani, mocą której mogą już tu na ziemi odpuszczać wszystkie grzechy, a temsamem jakby jakimi kluczami otwierać bramy niebieskie.

Dlaczego św. Piotr, a nie inny z Apostołów — otrzymał tę najwyższą władzę, trudno dociekać. — Taka była wola Pana Jezusa i tak się stało i odtąd św. Piotr był najwyższym zwierzchnikiem całego świata, gdyż był namiestnikiem samego Boga tu na ziemi.

A czemże on był przedtem?

Piotr święty, syn Jony, pochodził z Betsaidy i przed powołaniem go do służby Bożej przez Pana Jezusa nosił imię Szymona. Chrystus wybrał go na Apostoła i po śmiałem wyznaniu Szymona, że Chrystus jest Bogiem, obiecał go zrobić głową Swojego Kościoła, przyczem nazwał go skałą (po łacinie „petra") skąd powstała nazwa Piotr. Zmianą imienia chciał Chrystus zaznaczyć, że go przeznacza do wielkich celów.

Przyrzeczenia tego dotrzymał Chrystus i po swojem zmartwychwstaniu wyrzekł do Piotra te pamiętne słowa:

— „Paś baranki moje, paś owce moje!"

Temi słowy dał Chrystus władzę Piotrowi nad całą swoją trzodą, czyli nad wszystkimi ludźmi, bo za wszystkich umarł na krzyżu. Wprawdzie innym Apostołom dał Chrystus moc związywania, rozwiązywania i rządzenia Kościołem, ale moc tę dał im tylko wspólnie z św. Piotrem, względnie każdorazowym jego następcą, bo do żadnego z Apostołów nie powiedział osobno: „Paś baranki moje, paś owce moje!" i żadnemu z nich wyjąwszy Piotra św., nie dał kluczów Królestwa Niebieskiego, czyli najwyższej władzy nad Kościołem.

Że Piotr św. w powyższem znaczeniu rozumiał słowa Chrystusa i że Apostołowie uważali Piotra za swego zwierzchnika, pokazuje się z postępowania Piotra i Apostołów. Piotr pierwszy podnosi głos przy obiorze św. Macieja na Apostoła w miejsce Judasza, pierwszy ma mowę w dzień Zielonych Świątek, — pierwszy przemawia na zebraniu Apostołów w Jerozolimie. Ewangeliści, gdy wyliczają imiona Apostołów, zawsze na pierwszem miejscu wymieniają św. Piotra, a św. Mateusz Apostoł i Ewangelista dodaje nawet te słowa: „Pierwszy Szymon, nazwany Piotr".

Powyższe postępowanie Apostołów polega widocznie na uznaniu zwierzchnictwa Piotra, gdyż inaczej nie mieliby Apostołowie powodu stawiać Piotra na pierwszem miejscu, który ani wiekiem nie był najstarszy, ani też pierwszy nie był powołany na urząd Apostolski. A sądząc rzeczy po ludzku, to inni Apostołowie posiadali wyższe wykształcenie, aniżeli św. Piotr, choćby wziąć tylko pod uwagę tylko św. Ewangelistów, spisujących Ewangelję, czego święty Piotr nie czynił.

Podobnie zachowywała się cała starożytność chrześcijańska, streszczająca swe zapatrywania w słowach biskupów, zgromadzonych na soborze efezkim w roku 431. „Rzeczą żadnej wątpliwości nie ulegającą i wszystkim wiekom znaną jest, iż Piotr jest księciem i głową Apostołów, kamieniem węgielnym kościoła katolickiego". — Tak powiedziano na owym soborze i w to do dziś dnia wierzą wszyscy katolicy.

Władza rządzenia w Kościele nie spoczywa w ręku wiernych, ale według woli Chrystusa udzielona została Piotrowi i Apostołom, pod zwierzchnictwem Piotra zostającym, wskutek czego Piotr i Apostołowie z nim złączeni stanowią Kościół rządzący i nauczający, wierni wyobrażają zaś Kościół słuchający.

Św. Piotr nauczając przez jakiś czas w Azji, przybył do Rzymu i założył tam swą stolicę biskupią. — Pobyt jego w Rzymie przypadł na czas największego prześladowania chrześcijan przez okrutnego cesarza Nerona. Jak wiadomo, Neron kazał podpalić Rzym, aby mógł patrzyć na rozszalały żywioł i przytem wygłaszać swe nieudolne wiersze. Oburzyło to nawet największych zwolenników Nerona, wśród ludu zaczynało wrzeć. Zausznicy krwawego satrapy, aby odwrócić podejrzenia od swego pana, rzucili podejrzenie, iż to chrześcijanie podpalili Rzym i zażądali na chrześcijan kary. Neron, choć wiedział, że to nieprawda, aby siebie ratować, wydał nakaz więzienia i karania śmiercią chrześcijan. Setki i tysiące niewinnych ludzi dostawało się do więzień i ponosiło śmierć męczeńską. Ale chrześcijan nie ubywało, bo w miejsce jednego męczennika nawracało się na prawdziwą wiarę dziesięciu. Mimo to wierni obawiali

się o życie św. Piotra, który bawił wówczas w Rzymie. Błagali go, aby na czas jakiś, póki te straszne prześladowania się nie skończą, uszedł z Rzymu. — Św. Piotr opierał się namowom przez czas dłuższy, ale wkońcu ustąpił i chciał opuścić Rzym. W drodze jednak ujrzał postać Pana Jezusa. Padł przed nią na kolana i zapytał: „Quo vadis Domine? Dokąd idziesz Panie?“ A Chrystus odpowiedział mu: „Idę do Rzymu, kiedy ty go opuszczasz, aby drugi raz umrzeć dla zbawienia dusz ludzkich“. Św. Piotr zawrócił z drogi, powrócił do Rzymu i tam po dwudziestopięcioletniem sprawowaniu urzędu biskupa rzymskiego i papieża, czyli głowy Kościoła nad całym światem chrześcijańskim poniósł śmierć męczeńską z rozkazu owego krwiożerczego cesarza Nerona w 67 roku po Narodzeniu Chrystusa.

Jak wiadomo z historji, i Neron nie przeżył długo św. Piotra. Gdy czuł, że lud coraz bardziej burzy się przeciw niemu, chciał się ratować ucieczką. Ale i ta okazała się niemożliwą. Kiedy był już za miastem, przyłożył do swej szyji sztylet, lecz ten, który tyle ludzi życia pozbawił, nie miał odwagi sam siebie go pozbawić. Dopomógł mu w tem jego sługus, który pchnął ostre żelazo w ciało swego pana.

GENERAŁ JÓZEF BEM.



Generał Józef Bem na czele sztabu węgierskiego.

W tych dniach przybywają do Tarnowa prochy jednego z wielkich synów naszej Ojczyzny, generała Józefa Bema, które przez lat 80 spoczywały w Aleppo w Syrji. Sprowadzeniem prochów gen. Bema zajął się specjalny Komitet, a jeżeli nic nie przeszkodzi, przybędą do Tarnowa w dniu 30 b. m.

Któż to był ten generał Bem, którego śmiertelne szczątki po latach 80 do Polski sprowadzamy?

Otóż Józef Bem urodził się w roku 1795 w Tarnowie, jako syn tamtejszego nauczyciela, a zarazem adwokata. Po ukończeniu szkoły wojskowej w Warszawie pierwsze awanse oficerskie otrzymywał na polu bitew i za czasów Królestwa Polskiego Kongresowego mianowany został kapitanem artylerji konnej, a później profesorem w szkole artylerji w Warszawie. Podczas walk polsko-rosyjskich w r. 1831 Bem chlubnie się odznaczył w bitwie pod Ostrołęką, gdzie wskutek niedołęstwa naczelnego wodza polskiego, armja polska wielkie poniosła straty. — Można powiedzieć, że Bem uratował ją od jeszcze większej klęski.

Po zdobyciu przez wojska rosyjskie Warszawy, Bem musiał uchodzić za granicę, a gdy w roku 1848 na Węgrzech zawrzała walka o niepodległość, zaciągnął się w szeregi węgierskie. Wyjątkowe zdolności i doświadczenie sprawiły, że najpiękniejsze karty w dziejach tej wojny Węgrzy zawdzięczają Bemowi. Szczególniej sławną jest jego kampanja siedmiogrodzka i bitwa pod Sybinem, gdzie rozbił posiłkujące Austrjaków wojsko rosyjskie. Był to wielki triumf, decydujący o losach całej kampanji siedmiogrodzkiej. Węgrzy uczcili Bema w sposób wielce zaszczytny, bo ofiarowali mu order, ozdobiony brylantem największym, wydobytym z korony św. Szczepana, w miejsce zaś to wpisali imię walecznego generała.

Ale dalsze losy wojny o niepodległość Węgier zmieniły się na niekorzyść tych ostatnich po przybyciu na pole walki wielkich posiłków rosyjskich. Oprócz tego w obozie węgierskim wszczęły się niezgody i musiano zaprzestać walki tak do niedawna zwycięskiej i zaszczytnej.

Po poddaniu się różnych wodzów węgierskich Austrjakom Bem został mianowany naczelnym wodzem wszystkich sił węgierskich, ale nie mógł już polepszyć sprawy, za którą walczył i musiał ustąpić.

Bem, nie chcąc dostać się w ręce Austrjaków, którzy niezawodnie byliby go na śmierć skazali, uszedł do Turcji i tam zmarł wkrótce, bo już w roku 1850.

Gen. Bem ani nie przypuszczał może, że ci, z którymi on tak dzielnie walczył na polach węgierskich, po latach kilkudziesięciu upadną, a naród polski, wyswobodzony z długiej niewoli, nie zapomni o swym bohaterze i szczątki jego sprowadzi do Ojczyzny i pochowa je z czcią wielką w jego rodzinnem mieście.

Na obrazku naszym widzimy generała Bema w stroju cywilnym na czele swego sztabu przed bitwą pod Sybinem. Obok stoi artylerzysta, który składa mu sprawozdanie i odbiera potrzebne rozkazy. Obrazek nasz jest kopją obrazu sławnego malarza polskiego Jana Styki, który namalował całą panoramę p. t. „Bitwa pod Sybinem“.



— Niema sprawiedliwości na tem świecie — powiada wkiejsik do mnie Bartek od Furgaca. — Bo i uwaz, jaka to jest sprawiedliwość, kiedy bez cały tydzień mojego gospodarza zęby bolały, a w niedzielę urodziła się gospodyni dzieucha. Kto chorował, to ten powinien był mieć dziecko, a nie ten, co był zdrowy!

— No jakze to — ja mu na to — przecie chłopy dziecek nie mają...

— A wis, ze w tem takze jest niesprawiedliwość — pada Bartek — bo jakby była sprawiedliwość, to chłopy powinni mieć chłopaków, a kubity dzieuchy. Byłoby w sam raz. A tak to co? Baby mają i chłopaków i dzieuchy, a casem i dwoje naraz, a bidne chłopiny to ani kocięcia umnozyć nie potrafią. Jednemu Poniezus dał wszyćkie przyjemności, a drugiemu nic.

— Nie wyćciwiaj na Pana Jezusa, bo On ta juz wiedział, co robi! Jednemu dał taką przyjemność, drugiemu inaksą, ale krzywdy nikomu nie zrobił.

— Moze być, ze Poniezus chciał jak najlepiej, ale przecie pomimo Jego chcenia nie wszyćko tak jest, jak potrza. Bo weźmy na przykład takiego hrabiego, co ma tysiąc mórg ziemi jak masełko, to cemu jemu Poniezus daje ino co osiem lat jednego brzdąca, a Walkowi Osmole, co ma ino chałupinkę i ćwierć morga pola, to juz przed ślubem dał mu dwoje pędraków, w štyry miesiące po ślubie trzecie, na bezrok znowu dwa odrazu tak, ze za trzy lata ma juz pięcioro. A hrabia, choć juz dwadzieścia roków żeniaty, ma ino jedną makolągwę i jednego bejdoka. Walek sam niema z cego wyzyć, a hrabia przecie mógłby wychować i osiemnaścioro dziecek.

— E no, choć tobie się zdaje — powiadam ja — ze to jest nie całkiem w porządku, to ono przecie tak nie jest. Walek siedzi w chałpie bez cały rok i pracuje na swojem zagonie, to mu i Poniezus błogosławi, a hrabia dziś tu, jutro tam, to i kiedyz ma swego dopilnować? Coprawda, to ma rzańce, ale rzańca nie do wszyćkiego jest godzony. Ma pilnować pola i obory, to pilnuje, a dwór nic go nie obchodzi. Casem ino trafi sie jaki ućciwsy, co i pole obrobi i we dworze pomoze, ale teraz takich ludzi mało.

— A widzis! Jakby była sprawiedliwość, toby sobie wszyscy we wszyćkiem pomagali. No ale mniejsa z tem! Weźmy na ten przykład rzec inksą. Ot taka kolej! Dzień w dzień o siódmej rano jezdzę koleją na robotę do Mościsk. Niby mam jechać o siódmej, ale codzień choć przyjdę na kolej o pół do siódmej, to pociąg przychodzi se o pół do ósmej. I ja, jako człowiek ućciwy calusieńką godzine na niego cekam. Wkiejsik zaspałem se i przysedłem na stację dwie minuty po siódmej. Myślis, ze pociąg cekał. Pojechała se choroba równiusieńko o siódmej; nie zacekał ani minutki. I jest tu sprawiedliwość? Jakby była, to kiedy mogłem kiedyindziej ja na niego cekać pół godziny i więcej, to i on choć ten raz mógł te dwie minutki zacekać na mnie, tembardziej, ze ja za to ze z niem jezdzę płacę, a on, choć takze ze mną jeździ nic nie płaci. A jakby była sprawiedliwość, to kiedy ja za jezdzenie z niem płacę, to i on za jezdzenie ze mną powinien płacić.

— No widzis, jakbyś ty jego tak wziął na plecy, jak on ciebie bierze, toby ci tam moze i zapłacił!

— Chorobeby zapłacił — powiada Bartek. — Takby zapłacił, jak zapłacił Grzeli Wątrobie łońskiego roku! Jak wiadomo, Grzela chodził se codzień do roboty štreką. A ze to był chłop okrutecnie zgodny, to jak tą samą štreką sed pociąg, to mu Grzela ustępował z drogi. Zdarzyło się raz, ze Grzela o cemś okrutecnie się zamyślił i nie spostrzegł, ze z drugiej strony leciał rozhukany pociąg. On na štrece i Grzela na štrece. Grzela go nie widział, ale pociąg Grzelę widział, bo zacął pisceć jaze okropa, aby się Grzela ustąpił. Piscał i piscał, ale ani na krok nie ślaz ze štreki i bidnego Grzelę do cna roztarmosił. Jakby była sprawiedliwość, to kiedy mu Grzela tyle razy ustępował, to byłby on choć raz jeden ustąpił. Ale gdzie tam!

— No przecie wis, ze pociąg nima rozumu, to jakze i miał ustąpić?

— Ale nima! Pisceć to ma rozum, a zejść porządnemu człowiekowi z drogi, to nima! Ale ono juz tak jest, ze zawse bidnemu człowiekowi wiatr w ocy!

Weźmy rzec z inksej strony. Powiadał dziadek w sejmie, ze są tacy posłowie, którzy kradną. A nie trza dziadka, boć wszyćkiem było wiadomo, ze za poprzednich rządów to nie ino posłowie, ale nawet sami ministrowie kradli i za kradzione piniądze podokupywali se to to, to owo. I cy siedzi z nich choć jeden w kreminale? A jakbyś tak ty, Maciuś, albo ja co ukradł, toby cię zamknęli do ula i nie puścili, pókibyś dziesięć razy kradzionego nie odpokutował. I ty powiadas jesce, ze jest sprawiedliwość! Jakby była, toby prawie wszyscy ludzie powinni siedzieć w kreminale, a nie ino co poniektóry.

Doświadczenie!



Gdym się drobnych uczył kroków,
Chodzić po ziemi,
Nie widziałem na niej smutków
Ni żadnych cieni!
Pełen byłem snów, wesela,
Uciech, radości!
Szczęśliw, żywy, pieszczotliwy
Nie znał przykrości! —

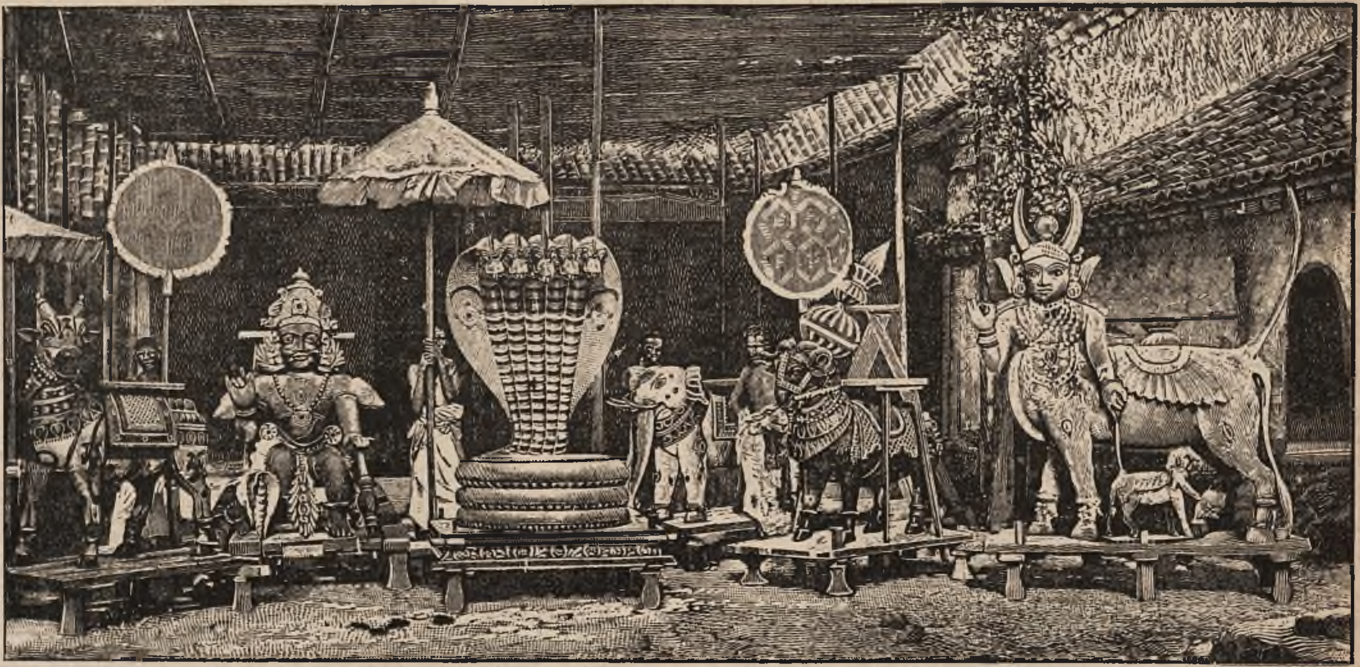
Teraz, gdy po świecie chodzę
Różnymi drogi,
Los mi rzuca ciernie głogi
Kłody pod nogi!
I tak tylko iść przebojem
Naprzód potrzeba,
Iść wytrwale, iść do celu...
Bytu i chleba!

Gdym się uczył mową władać,
Ruszać ustami,
Miałem ludzi za aniołów
Tylko z cnotami!
Kiedy do mnie przemawiano,
Ja przemawiałem,
Każde słowo wymówione
Za prawdę miałem!

Teraz, gdy już rozpoznałem
Ludzi na ziemi,
Strach mnie wezbrał widząc onych
Tak fałszywemi!
Lecz ja mam to doświadczenie,
Że tak się stanie,
Szczeźnie kłamstwo, fałsz, obłuda,
Prawda zostanie!

Szczepan Orzech.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.



Chiny III.

Z tego, cośmy w poprzednim numerze „Roli" powiedzieli, możnaby wnosić, że w Chinach trudno coś znaleźć godnego podziwu. A przecież tak nie jest. Już same bonzerje duchownych chińskich to prawdziwe cacka, w których niejeden Europejczyk z przyjemnościąby zamieszkał. A i świątynie tamtejsze, czyli tak zwane pagody, choć dziwaczne dla nas, mają przecież jakiś urok, jakąś tajemniczość, której my tak dalece nie odczuwamy, ale którą odczuwają nadzwyczajnie Chińczycy.

W poprzednim numerze podaliśmy podobiznę dwóch genjuszów przy wejściu do świątyni w Kushan. Gdyby nasi chłopcy coś podobnego gdzieś zobaczyli, mieliby doskonałą zabawkę, rzucając do tych potwornych głów kamykami, jak do jakiej tarczy. Chińczycy czczą te potwory i oddają im cześć niemal boską.

Dziś znów podajemy u góry obrazek przedstawiający wnętrze jednej z świątyń chińskich. Czyż nie wesoło on wygląda? Jakże humorystycznie przedstawia się owe stare niemowlę, siedzące jakby na tronie jakimś z podniesionym palcem ku górze? — A czyż nie wesoło wygląda po prawej stronie ten niby sfinks z dziecięcą głową, z podniesionym ogonem i trzymający lewą ręką za ogon mniejszego sfinksa? A reszta, to jakby poustawiane zabaweczki dla małych dzieci. Nas to bawi i śmieszy, ale Chińczycy mają to wszystko w wielkiem poszanowaniu, bo tak im nakazuje ich religja.

U nas w pobliżu każdego kościoła parafjalnego znajduje się cmentarz, na którym wszystkich zmarłych chowamy. U Chińczyków jest inaczej: tam każda rodzina ma swój cmentarz. Cmentarze publiczne są tylko dla cudzoziemców i żebraków. Może najoryginalniejszy cmentarz w Chinach, to cmentarz dynastji Mingów, znajdujący się 9 mil na północ od Pekinu. Rozciąga on się na trzynastu dolinach, a na każdej dolinie jest grobowiec jednego cesarza.

Mniej więcej pięć kilometrów od Pekinu rozpoczyna się droga do najpiękniejszego grobowca Mingów. Otwiera ją łuk triumfalny, cały z marmuru, a poza nim znajdują się trzy bramy z odpowiednimi napisami. Pomiędzy łukiem a owemi bramami spotyka się po obydwu bokach aleji posągi osób i zwierząt, które odznaczają się albo oryginalnością wyrobu, lub swym ogromem. Oto najpierw są dwie kolumny, ozdobione obłokami rzeźbionemi, potem znajdują się dwa lwy leżące i dwa stojące, cztery wielbłądy, cztery słonie, cztery barany, cztery smoki, cztery konie. Dalej następują osoby, a więc najpierw posągi czterech mandarynów wojskowych i czterech cywilnych dalej podobizny czterech sławnych uczonych, czyli razem dwanaście posągów osób, a dwadzieścia cztery zwierząt.

Fragment tej aleji widzimy na naszym drugim obrazku. Jest to część z posągami wielbłądów.

Po przebyciu przeszło jednej godziny drogi aleją i trzech bram, wchodzi się wkońcn do grobowca. —



Droga prowadząca do grobów cesarskich.

Zewnątrz niema nic szczególnego, wewnątrz podziwia się niezmierne kolumny rzeźbione z drzewa jednej całości, mające przynajmniej półczwarta metra średnicy, a 18 metrów wysokości. Podróżny nie żałuje trudu tej uciążliwej wycieczki. Jest to najpiękniejsza rzecz, jaką się spotyka w okolicy Pekinu.

Dwa razy do roku członek rodziny cesarskiej udaje się do grobu przodków, składa ofiary z bydląt, z materji jedwabnych, z pożywienia, pali kadzidła, papierowe pieniądze i t. p.

Za panowania pierwszych Mingów wraz z trumną cesarską chowano także żywcem jego żony, później zaniechano tego barbarzyńskiego zwyczaju, pozwalano im spokojnie umierać, a tylko zwłoki ich przenoszono do grobowca cesarskiego.

Zachodziła jednak trudność, jak tam te zwłoki przenieść, gdyż drogą do grobowca nie wolno było nikomu przechodzić, tylko cesarzowi. Ale od czegóż spryt? Nie wolno wierzchem drogi, to można przecież dostać się do grobowca pod spód drogi. Wykopano więc pod drogą wygodny tunel, przez który przenoszono zwłoki małżonek do grobowca ich pana i męża. Na wszystko jest sposób.

Najprzykrzejszy był los lekarzy, jeżeli cesarzowi chińskiemu zachciało się zachorować. Lekarze musieli cesarzowi przywrócić zdrowie, a jeżeli się im to nie udało, bywali surowo karani. Przedewszystkiem degradowano ich o kilka stopni, a następnie bito publicznie. A niełatwą to rzeczą było pielęgnować nietykalną osobę cesarską. Nie wolno było lekarzowi zbliżać się ani dotknąć pacjenta; musiał stać przy drzwiach i tak zdaleka przepisywać lekarstwa. Ci, którzy mu usługiwali, musieli to czynić na klęczkach. Osoba cesarska była nietykalna, a gdyby ją był ktoś obraził, nietylko sam był karany śmiercią, ale wraz z nim cała jego rodzina, a więc żony, dzieci, rodzice, krewni; nie przepuszczano nawet najmniejszemu dziecku.

Dziś oczywiście o tem niema mowy, gdyż ostatniego cesarza, pomimo jego nietykalności, napędzono, a Chiny są Rzecząpospolitą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

Teraz przekonaną była o prawdziwości słów swojego gościa.

Hrabia rozmyślał tymczasem nad czemś głęboko. Potem jął żywo opowiadać:

— Przypominam sobie już bardzo dobrze. Ślub mojej Izy z Nordenem odbył się w małem miasteczku A...

— Stamtąd napisała do mnie list z uwiadomieniem o tem, co zaszło:

— Było to w maju 18...

— Zaraz napiszę po dokumenty, — zawołał czcigodny starzec, budząc się niejako z zamyślenia.

— Wie pan hrabia, że córka pańska, posiadała mała dziewczynkę.

— Tak to jej dziecko i tego nędznika.

— Możliwe?

— Moja córka nie kłamie nigdy! Zresztą i na to wystaram się o dokumenty. Niech tylko znajdę moją córkę.

— Ale pańska córka podejrzaną jest o morderstwo! — zawołała Mary głośno.

Z okrzykiem gniewu podskoczył hrabia z krzesła.

— I pani w to wierzysz?

— Moja Iza nie w stanie zabić muszki. To czysta szlachetna dusza. Hrabianka Wielhorska zniesie nędzę, rozpacz, męki śmiertelne, ale nie pokryje imienia swojego rodu taką hańbą i sromem. Chociaż nawet usłuchała w swojej miłości podszeptów nędznika, to wzięła z nim ślub i jest jego małżonką. Jam ją odepchnął z domu, — ale teraz ją kocham, jak dawniej, dawno przebaczyłem jej winę i skoro ją tylko znajdę, zabiorę ze sobą do domu. Nie wiem gdzie teraz, ale ją znajdę, bądź pani tego pewną.

Wstał i chciał ją pożegnać.

— Czy mogę prosić pana hrabiego na pojutrze do mnie? — zapytała Mary.

— Proszę bardzo, służę Pani, —rzekł grzecznie.

— Możliwa rzecz, iż dowiem się bliższych szczegółów dotyczących pobytu córki pańskiej, — dodała.

— Przyjmę je chętnie, — rzekł hrabia i wyszedł.

Tymczasem Mary, postanowiła rozmówić się z Nordenem ostatecznie.

42. Miłość i nienawiść.

Mary przywiozła ze sobą hrabiego Wielhorskiego do willi.

Chciała przekonać magnata, który przyniósł ze sobą nawet potwierdzenie tożsamości swojej osoby z ambasady, że to, co Norden jej naopowiadał, było jedyną, czystą prawdą.

— Co pan zamyślasz uczynić, kiedy wrócą dokumenty i skoro znajdziesz pan córkę? — pytała drogą.

— Nasamprzód usprawiedliwią i uniewinnią te dokumenty moją córkę przed światem. Potem wykonam formalność zwyczajną w takim razie, — to znaczy, postaram się o rozwiązanie małżeńskich związków jej z Nordenem. Będzie to rzeczą łatwą, gdyż on popełnił zbrodnię bigamji.

Mary, wzięła od hrabiego przedtem słowo honoru, że nie zdradzi nikomu miejsca pobytu jej małżonka.

Dowiedziawszy się od służby, o kradzieży z włamaniem, Mary oniemiała.

Dziwne ją owładnęło przeczucie. Popędziła na górę jak obłąkana.

— Arturze! — wołała.

Nie było odpowiedzi. W jej gabineciku nie było go. Nawet echo spało...

Wpadła do pobocznych pokojów.

— Niema go! Umknął! — zawoła w dzikiej rozpaczy. — Gdybym była pana nigdy nie przyprowadziła ze sobą! On umknął, gdyż obawiał się pana, — panie hrabio!

— Ależ nie wiedział, że ja przyjdę.

— Ma pan słuszność! Proszę mi przebaczyć! O! ja nędznica! Ledwiem go znalazła — jużem go straciła.

Hrabia, patrzył na nią z wielkiem zdziwieniem.

I mogłaż kochać tak wiernie — kogo? Odepchniętego przez cały świat złoczyńcę?

Mary, opamiętała się nareszcie.

— Proszę za mną panie hrabio! — rzekła drżącym głosem, prowadząc magnata do salonu, — mąż

mój może wkrótce nadejdzie! Ja sama dziwię się, co za przyczynę miał opuszczać bezpieczne schronienie.

Weszli do salonu.

Zdziwiony spoglądał hrabia na otwartą szafę, na narzędzia, leżące na podłodze i gęstą chmurę dymu w komnacie.

Mary zemdlała. Cucono ją; przyprowadzono wreszcie do zmysłów.

Oddaliła służbę i spowiadała się hrabiemu ze swych uczuć...



Oddaliła służbę i spowiadała się hrabiemu.

— Nie mam tajemnicy przed panem.

— Widziałeś pan wszystko — wszystko. Opowiem resztę. Wiem teraz, iż on to był mordercą mojego biednego ojca, on, a nikt inny! A mię oszukał: straszliwie i okradł. Po to wrócił tylko, by mię okraść.

Hrabia patrzył na nią z politowaniem.

— Tresory jak widzę nie są otwarte. Może też nie okradł pani całkowicie.

— Nie otwarte? — zawołała żywo.

— W takim razie nędznik zadowolił się kradzieżą pół miljona dolarów, które leżały osobno.

— Cały mój majątek pieniężny leży w tresorze. Ale niechby był nawet i ten cały mój majątek wykradł, — ciągnęła dalej głosem stanowczym, — to nie byłby mnie ogołocił z majątku zupełnie.

— Mogłam jeszcze sprzedać ogromne moje dobra i użyć tych pieniędzy na zemstę na nikczemniku.

Wyciągnęła dziwne klucze, otwarła tresor.

Zdziwiony popatrzył hrabia na miljony nieszczęsnej kobiety w tym opancerzonym schowku.

— Ofiaruję to wszystko, — rzekła Mary uroczyście — dzień i noc trudzić się będę, ale swojego celu dokonam...

— Przysięgam panu na to!

— I zemszczę się za śmierć ojca!

— I zemszczę się za hańbę i ból mój!

— I zemszczę się za zniszczone szczęście córki pańskiej, pani Izy!

Była teraz nie żoną Nordena, była jego demonem zemsty.

— Jedno mnie dziwi, łaskawa pani, jakże powrócił do pani ten nikczemnik i dlaczego przyjęła go pani powtórnie w swoim domu? — zakończył hrabia poważnie.

Mary wyglądała straszliwie.

Ból zakuł jej serce w kajdany piekielnego gniewu...

43. Spotkanie.

Antała Jacek ciągle jeszcze był woźnicą u farmera niedaleko Maryville.

Raz doznał niespodzianki.

Przywołał go za czemś farmer do siebie.

Ledwie Jacek przestąpił próg przedsionka, kiedy cofnął się w tył zdziwiony i patrzał na postać starego pana, w którym poznał hrabiego Wielhorskiego.

— Mój Boże! we śnie czy na jawie? Toć to mój jasny pan hrabia!

— Jedziesz Antała ze mną! Pakuj rzeczy! Z panem twoim już się rozmówiłem, wszystko w porządku.

Poszedł upojony radością przygotować się do odjazdu.

A tymczasem żona farmera podała hrabiemu karteczkę Izy.

— Tak, poznaję pismo córki! Dziękuję wam drodzy moi państwo za opiekę nad moją nieszczęśliwą córką, za ratunek od głodowej śmierci. Pokazał im portrecik Izy jeszcze z czasów dziewiczych.

— Tak, tak, ta sama, — mówiła pani — z tem cudnem obliczem, na które nie mogłam się napatrzeć Na białych poduszkach leżała jej główka jakby anielska.

Jacek gotów był do podróży.

Hrabia zwrócił się do czcigodnych farmerów z ostatecznem podziękowaniem i pożegnaniem.

Jan czekał już u powozu.

Było przed południem na drugi dzień, kiedy hrabia przybył do Maryville.

Dowiedział się tutaj, że Izy niema. Siedział w hotelu i dumał.

Dokąd się ma zwrócić, co począć?

Wtem wszedł Jan i oznajmił, że jakiś pan nazwiskiem Rogers, pragnie z nim mówić.

— Rogers? Nieznane mi nazwisko, ale proś do mnie, — rzekł hrabia.

Wszedł Rogers.

— Przepraszam, jeśli może przeszkadzam, ale chociaż obcy panu człowiek; jeden i ten sam cel mam, co pan.

Hrabia patrzał nań ze zdziwieniem.

— Zdaje mi się, że pan szukasz za swoją córką, rzekł Rogers poważnie.

— Wie pan może, gdzie ona? — zapytał żywo hrabia.

— Nie wiem, choć przedtem wiedziałem. Teraz właśnie jej poszukuję.

— Pan?

— Tak jest. To długa historja, panie hrabio. — Może pana znużyć.

— Proszę tylko opowiadać, panie Rogers. Co dotyczy mojego dziecka — może mię tylko żywo interesować.

Usiedli naprzeciwko siebie.

Poważnie i rozsądnie, często z odcieniem żalu opowiadał Rogers losy nieszczęsnej hrabianki.

I swoje losy, gdyż wiązały się one z losami ślicznej kobiety.

Oczy hrabiego spoczywały ze współczuciem na obliczu opowiadającego.

Potem opowiedział mu dalszą część losu swej córki, skreślonych niewprawną, lecz energiczną ręką Jacka.

Rogers ciężko westchnął, wysłuchawszy straszliwych wieści o głodem morzonej ukochanej istocie.

Hrabia znał się na ludziach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przebiegły cygan.

(Bajka.)

Żył sobie pewien poczciwy cygan, który pokątnem kowalstwem zarabiał na kawałek chleba. I byłby może tak do sądnego dnia biedę klepał, gdyby nie następująca historja, której błachy początek do wielkiej sławy biednego cygana przywiódł.

Gdy tak siedzi w swej budzie, a kuje, aż skry się sypią z pod młota, przynosi mu jego żona, Nastka, obiad. Na misie, niemytej z przedwczorajszego jeszcze jedzenia dymiła się mamałyga kukurydziana. Cygan, póki za każdem zanurzeniem łyżki w jedzeniu, nabierał więcej skwarków ze słoniny, niż mamałygi, jadł z ogromnym apetytem, lecz gdy skwarków brakło, rzucił misę z mamałygą na pokrycie budy.

A że dzień był ciepły, jakto zwykle w lecie bywa, to też na owe cudne malowanie na budzie nazlatywało się mnóstwo much, żywiących się mamałygą. Gdy to cygan zobaczył, wpadł w pasję i rzecze:

— A do kroćtysięcy kaduków, toć myślałem, że te kluski są tak złe, żeby ich wszelkie stworzenie Boskie nawet powąchać się wzdrygało, a te przeklęte muchy ośmielają się zaprzeczać mojemu rozumowaniu!

I nie namyślając się długo, bierze swe spodnie ze żerdzi i podniósłszy je w górę, spuszcza z rozmachem na niczego się nie spodziewające owady, i o zgrozo... na budzie istne pobojowisko much, a nasz bohater nie mając nic lepszego do czynienia, zaczął obliczać dzieło swego zniszczenia, a obliczywszy, napisał na czapce: „trzysta zabił, dziewięćdziesiąt okaleczył za jednym zamachem", ale czego — przezorny cygan nie napisał.

Będąc zaś w ustawicznych kłótniach ze swą Nastusią, postanowił uciec od niej w świat. Idzie dzień jeden, drugi i trzeci miał się ku końcu, gdy cygan przyszedł do miasta wielkiego. Podróż ta była rajem dlań bo gdzie przechodził, wszędzie z obawy przed mniemaną siłą człowieka, co trzysta zabił i dziewięćdziesiąt okaleczył za jednym zamachem, dawano mu, co tylko miano, co cygana jeszcze w większą dumę wzbijało.

Lotem błyskawicy obeszła miasto wieść, że przybył w mury miasta olbrzym niezrównany i wieść ta obiła się wnet o uszy królewskie. Jakoż król zapragnął go widzieć. Cygan, zawołany do króla, stawił się.

Wtedy król zdziwiony pyta:

— Co oznaczają te wyrazy, napisane na twej czapce? Czy ty rzeczywiście masz taką siłę; by tylu zabić za jednym zamachem?

— Najjaśniejszy panie! Nietylko tyle, ale i więcej jeszcze — odrzekł z przechwałką cygan.

— Łatwiej powiedzieć, niźli wykonać, rzecze król. — Dobrze, żeś taki zuch, ale nam tego dowody musisz dać. Jest tu u nas olbrzym, któremu rady nikt nie może dać, a który nas bardzo zubożył, bo czego zażąda, otrzymać musi, bo inaczej całe miasto by w gruzy rozsypał i nas pod nim pogrzebał. Cały naród musi ciężary na utrzymanie tego żarłoka ponosić, a on nic nie robi, całymi dniami się wyleguje w swych pysznych komnatach. Przeto daję ci rozkaz: W pojedynku tego olbrzyma zabić, a gdy tego dokonasz, otrzymasz córkę mą za żonę i pół królestwa z nią.

Cygan wyjścia nie miał i zgodzić się musiał, choć ze strachem okropnym. Ubrał się więc w ułański mundur, przypiął szablę do boku, a ostrogi na buty i tak uzbrojony poszedł w kierunku mieszkania olbrzyma, dzwoniąc po kamiennym bruku szablą i ostrogami. Minę miał zawadjacką, aczkolwiek dusza mu od strachu na ramieniu siedziała.

W środku rynku był wybudowany gmach „Olbrzyma", w którym tenże przebywał. Koło jego mieszkania nawet w trzewikach nie śmiał nikt przechodzić,by nie robić hałasu i nie przerywać snu olbrzymowi, gdyż za najmniejsze zakłócenie spokoju olbrzym mścił się okropnie.

Olbrzym śpi sobie spokojnie w swojem żelaznem łożu, gdy do uszu jego dobiega hałas i szczęk z podwórza. Oburzony, wypada z łoża i biegnie na rynek a zaczepiwszy cygana, woła nań:

— Jakim prawem, nędzniku, zakłócasz mi spokój mego snu? Czy nie wiesz, co cię czeka?

Cygan widząc olbrzyma, zachwiał się, pot perlisty wystąpił mu na czoło, nogi zaczęły pod nim dygotać, ale fantazji nie stracił i odciął:

— Cicho bądź, olbrzymie, bo przyszedłem na pojedynek z tobą; przygotuj się więc prędzej na śmierć, niż na zemstę, albowiem ciało twe dam krukom na pożarcie.

Spojrzał olbrzym na mizerną postać cygana wzrokiem wzgardy i lekceważenia, ale napis na cygańskiej czapce sprawił mu raz zimne, to gorące poty.

— Hm, tegom jeszcze nie dokazał, by trzystu zabić, a dziewięćdziesiąt okaleczyć za jednym zamachem — mruczał do siebie olbrzym.

Ponieważ był blisko wieczór, więc olbrzym zaprosił swego rywala w gościnę do siebie, nietyle z grzeczności, ile z podstępu, chcąc w skrytobójczy sposób zgładzić go ze świata, a gdy nadeszła noc, kazał cyganowi położyć się w łóżko drzewiane, ale cygan rzekł z oburzeniem:

— Co ty głupcze sobie myślisz! Toć skoro ja w to łóżko się położę, aż ono pod ciężarem mego ciała w drzazgi się rozleci. Uściel mi łóżko z silnego żelaza, żebym mógł u ciebie noc wygodnie spędzić.

Co gdy się stało, położył się cygan do łóżka, ale przewidując zdradę, gdy olbrzym zasnął, cichutko wlazł pod łóżko i chrapie smacznie.

Gdy olbrzym usłyszał, że cygan chrapi, dobył ogromnie ciężkiej kuli żelaznej i rzucił z całą siłą w łóżko śpiącego cygana. Wówczas cygan jęknął i ucichł, a olbrzym, pewny, że cygan zabity, położył się spać.

Zdumienie olbrzyma nie miało granic, gdy zbudziwszy się, widział cygana, ubierającego się, który mówił doń:

— Coś mi się śniło w nocy, że mucha koło mego ucha brzęcząc przeleciała.

W olbrzymie upadło serce, bo sobie myślał:

— Skoro ty masz tak wielką siłę, że taki kawał żelaza uznajesz za muchę, to tu trudna sprawa będzie z tobą.

Po śniadaniu wyszli na podwórze pojedynkować się. Na cyganie skóra gore, na olbrzymie też z obawy jeden przed drugim. Już mieli rozpoczynać pojedynek, gdy cygan ujrzał na środku podwórza rozłożystą czereśnię, pełną owocu i zaraz mówi:

— Pozwól mi jeszcze raz przed śmiercią najeść się owocu, bo gdy mię pokonasz, już go więcej jadł nie będę.

— Ależ z największą chęcią — rzecze olbrzym, (bo się spodziewał, że gdy się cygan obje, to nie będzie tak sprawnym do zapaśniczych obrotów).

Cygan wylazł na czereśnię, jadł godzinę, i drugą, i trzecią, a olbrzym niecierpliwie wołał nań co chwila, by zlazł na pojedynek, ale bezskutecznie. Wreszcie doprowadzony upartem milczeniem do pasji, chwycił czereśnię w oburącz, strząsł nią i cygan zleciał jak gruszka dojrzała, szczęsnym trafem na równe nogi. Tedy sobie podskoczywszy, zawołał:

— Widzisz, gdybyś ty miał tę gibkość w sobie, co ja, tobyś też tak z czereśni skoczył, gdy nią strzęsę ale ty tego nie dokażesz, stary niedołęgo!

Olbrzyma ubodły do żywego słowa cygana. Skoczył do pnia i ująwszy go w ręce wspinał się na drzewo. Ale gdy doszedł do konarów, drzewo pod ciężarem jego cielska wywaliło się z korzeniami, przytłaczając olbrzyma, który się szamotał zaplątany w gałęziach drzewa. Skorzystawszy z tej chwili cygan, dobywszy pałasza, uciął głowę olbrzyma, a gdy przyniósł ją do króla, otrzymał z rąk tegoż królewnę i pół królestwa z nią i panuje tam szczęśliwie do dnia dzisiejszego.

Musi to być prawda, bo ja tam na tem weselu byłem, miód i wino piłem.

Wawrzek Miesiączek.



Poradnik gospodarczy.

Pielęgnowanie róży.

Któż z nas nie kocha kwiatów? Kochamy je wszyscy i cieszymy się nimi, jeżeli je posiadamy, ale tak mało jest ludzi, którzy te kwiaty szczególniej pielęgnują, którzy im choć trochę czasu poświęcają. Chcieliby, aby te kwiaty same rosły, kwitły bez ich starania i jak najpiękniej się rozwijały. Każda rzecz jednak potrzebuje pielęgnacji; potrzebują jej również i kwiaty.

Do najbardziej ulubionych kwiatów należy bezsprzecznie róża. Góruje ona nad innymi swym wyglądem i nadzwyczaj przyjemnym zapachem. Ale też róża potrzebuje może najwięcej starań.

Róże udają się najlepiej, gdy sadzone są na osobnej grzędzie, nie wystawionej na silne przeciągi, nie ocienionej przez drzewa, wysoki budynek lub płot. By kwitły wdzięcznie, rozwijały kwiaty foremnie, muszą mieć światła słonecznego dość przynajmniej trzy czwarte dnia. Obok róż uprawiane, czy sadzone inne krzewy, kwiaty zagłębiające korzenie zbytnio, wysilają z żyzności glebę, wygładzają temsamem i krzewy róż, a te jako takie nie pokrywają się już tak bujnem kwieciem, jakby się pokryły, gdyby miały pożywienia roślinnego w gruncie poddostatkiem.

Można jednak grzędy róż ubarwić na skrajach bratkami, lobelją, portulakami, ale żadnymi innymi kwiatami, które zakorzeniają się głęboko.

Ziemia ogrodowa, zawierająca odpowiedni procent piasku i glinki, niezbijająca się po deszczach, jest dla róży najodpowiedniejsza. Róże udają się i na gruncie lżejszym, bardziej piaszczystym, o podglebiu żwirowatem, ale już wymagają większej opieki, lepszego użyźniania gruntu, podczas gdy na glinach i na gruntach podmokłych zawsze przepadają.

Kompost, mierzwa dobrze przegniła stanowią najstosowniejszy nawóz pod róże.

Pora przesadzania róż jest dobrą i w jesieni i na wiosnę. W jesieni otrzymuje się krzewy w lepszym stanie, bo niedawno wyjęte z gruntu, ale muszą one być wcześniej przesadzone, zanim mrozy go zetną. Na wiosnę bywa sadzić róże korzystniej, gdyż łatwiej się przyjmują, a na wymarznięcie nie są narażone, mając kilka miesięcy czasu do dobrego zakorzenienia się w miejscu nowem, gdzie i w największe mrozy czerpią ciepło z podglebia, jakie chroni je od zguby.

Najodpowiedniejsze krzewy do przesadzania są dwuletnie. Rok tylko liczące rzadko napotykamy w handlu, gdyż są małe, wątłe i nie przynoszą lepszych cen. Róże szczepione na dziczkach mają u dołu pieńka zgrubienie, które jest znakiem, gdzie była szczepiona gałązka krzewu macierzystego jakiegoś gatunku. Wszelkie inne róże dają się wyprowadzić z gałązek przyciętych, zasadzonych do gruntu w inspektach i starannie pielęgnowanych.

Róże szczepione sadzi się głębiej niż one rosły w szkółce, znak, gdzie były szczepione na dziczkach, nakrywa się przynajmniej na jeden cal grubości ziemią.

Wszystkie inne krzewy róż sadzi się mniej więcej tak głęboko, jak rosły w szkółce, co zresztą łatwo po korze rozpoznać można. Przed sadzeniem krzewów należy na nich gałązki poprzykrócać, najwyżej dwa lub trzy oczka na każdej pozostawić.

Mając odpowiednio głęboki i szeroki dołek pod krzew róży gotowy, wstawiamy go weń, przytrzymujemy go jedną ręką w pozycji stojącej, a drugą rozgarniamy korzenie na wszystkie strony, byle nie poukładane na sobie i dopiero ziemią je przysypujemy, potrząsając przytem krzaczkiem, by korzonki dobrze ziemią się obsypały. Następnie przydeptujemy ziemię dookoła dobrze nogą i podlewamy obficie wodą, aby wiatr nie ochwiewał krzaczka, zwłaszcza przy różach wysokopiennych, wbijamy obok w ziemię palik, do którego przywiązujemy róże łykiem.

Toby była robota skończona przy przesadzaniu. Gdy krzew puści liście, a nawet pączki, trzeba je chronić od owadów, które chętnie róże obsiadają. — Czynią to szczególniej mszyce, które wysysają soki żywotne z róż.

Na zimę należy róże zabezpieczyć przed mrozami, obwiązując je lub okładając słomą, albo nawozem, albo nawet przysypując ziemią. Róża bowiem, jako roślina bardzo delikatna, łatwo przemarza.

Na wiosnę, nim jeszcze róża zacznie puszczać listki, dobrze jest poskracać jej gałązeczki, gdyż pozostałe nabierają więcej siły, aby wydać obfite i dorodne kwiaty, a przytem można formować koronę, jaka się podoba.

Jeżeli będziemy się troszczyli o róże, to starania nasze wynagrodzą one nam sowicie i upiększą nasze ogródki.



KRONIKA.

Pogoda w lipcu. Meteorologowie przepowiadają na lipiec pogodę zmienną, ciepło i gorąco naprzemian. W ciągu pierwszego tygodnia i około 20 lipca nieco chłodniej. W drugiej połowie słoneczniej. Zresztą mogą być i burze. Tak przepowiadają meteorologowie, a z przepowiedni tych to tylko wiadomo, że nikt nie zgadnie, jaka będzie pogoda w lipcu. Może być tak i tak, bo właśnie sztuką przepowiadania jest, aby na wszelki wypadek z przepowiedni można było później wyciągnąć prawdę.

Początek roku szkolnego. Ponieważ tego roku 1 września przypada w niedzielę, przeto minister oświaty zarządził, aby nowy rok szkolny rozpoczął się dopiero we wtorek 3 września nabożeństwem, a normalna nauka 4 września.

Wszędzie dobrze, w Ojczyźnie najlepiej. Argentyna, ciesząca się u nas opinją raju dla emigrantów, ma w rzeczywistości o wiele więcej ciemnych, niż jasnych stron. Jest to jeden z najbogatszych krajów świata ze wszystkimi skutkami wysokiej stopy życiowej. A więc z drożyzną ziemi, towarów i artykułów pierwszej potrzeby. Już więc z tego powodu trudno jest tam rozwijać się słabym ekonomicznie jednostkom. Praca jest tam wprawdzie odpowiednio wysoko płacona, ale też skutkiem tego jest tam dostateczna jej podaż i robotnicy, zwłaszcza niewykwalifikowani, na znalezienie pracy liczyć nie mogą. O wiele jednak trudniejsze jest położenie tych emigrantów, którzy rozporządzając nieznacznymi zasobami pieniędzy, zamierzają w Ameryce gospodarować na roli. Gospodarstwo rolne jest w Argentynie postawione nadzwyczaj wysoko. Dobra gleba i wielka podatność jej do uprawy maszynowej, niezwykła łatwość kredytów, dzięki wielkim zapasom gotówki w bankach, są przyczyną takiej intensywności gospodarstwa wiejskiego, jakiej w Polsce jeszcze nie znamy. Najlepszą ilustracją stosunków, panujących w Argentynie jest fakt, że w przeciągu kwietnia i maja wróciło z Argentyny do Polski przeszło 1.000 emigrantów po kilkumiesięcznych wysiłkach znalezienia pracy.

Wypadek autobusowy koło Stryja. W ubiegły poniedziałek tuż za Stryjem, na skrzyżowaniu się drogi do Bolechowa z drogą do Skolego, wydarzył się wypadek. Uległ mu autobus pasażerski, kursujący na przestrzeni Stryj-Dolina Wygoda, będący własnością Izaka Horowitza ze Stryja. Krytycznej chwili autobusem tym, którym kierował szofer Jan Fedorczyk, jechało 13 osób. Szofer, chcąc uniknąć najechania na osoby, przechodzące gościńcem, raptownie wóz zahamował, skutkiem czego na jednem kole pękła opona i cały autobus wywrócił się na miejscu. Z pośród jadących Rozalja Panylciów, gospodyni z Dulib, doznała złamania czaszki i poniosła śmierć na miejscu. Właściciel autobusu Horowitz doznał złamania lewej nogi. Nadto silnie kontuzjonowani są: posterunkowy Cieślak z Morszyna i Mykoła Bezdil, gospodarz z Mizunia. Inne osoby, które powyciągano przez okno autobusu, są lżej kontuzjonowane. Wszystkich rannych przewieziono do szpitala.

Tragiczny koniec zabawy. W Bilince Małej obok Sambora wieczorem odbywała się onegdaj zabawa taneczna, w której udział wzięło wiele młodzieży wiejskiej. W czasie tej zabawy niejaki Marcin Worobec ugodził dwukrotnie sztyletem w pierś Michała Chomickiego, który w kilka minut później na miejscu zakończył życie. Worobec po tym czynie skorzystał z powstałego zamieszania wśród zebranych i zbiegł w niewiadomym kierunku. Następnego dnia sam on zgłosił się w sądzie okręgowym w Samborze, oddając się w ręce sprawiedliwości. Przyczyną zajścia tego była rywalizacja o dziewczynę.

Narodziny w samochodzie. Z Katowic donoszą o niezwykłym wypadku: Oto przed hotel „Prezydent" w Goczałkowicach zajechał samochód, z którego wyskoczył przestraszony szofer, wołając o ratunek. Jak się okazało, samochodem jechała żona pewnego inżyniera w Bielsku, która, wracając z Katowic, powiła w samochodzie dziewczynkę. Przybyły niezwłocznie lekarz udzielił chorej pierwszej pomocy, poczem matka z dzieckiem odjechała do Bielska. W tak oryginalnych okolicznościach przybyła na świat panienka będzie chyba nadzwyczajną miłośniczką automobilizmu.

Największa w Polsce wystawa zwierzęca. W okresie od dnia 20 b. m. do 7 lipca b. r. odbędzie się w Poznaniu największa z dotychczasowych wystaw hodowlanych w Polsce, wystawa, która zgromadzi 756 koni, 1.005 bydła, 494 owiec, 405 świń, 2.500 drobnego inwentarza. Reprezentowane będą wszystkie rasy inwentarza żywego, które znalazły w Polsce uznanie, a eksponaty dzięki swemu pochodzeniu ze wszystkich ziem dadzą kompletny obraz stanu i poziomu rodzimej hodowli. Zainteresowanie społeczeństwa powyższą wystawą jest ogromne, będzie ona niewątpliwie największą atrakcją Powszechnej Wystawy Krajowej, ściągając nietylko liczne rzesze z kraju, lecz również gości z zagranicy, z krajów, które są zainteresowane w naszych możliwościach hodowlanych, specjalnie w dziedzinie chowu koni remontowych oraz trzody chlewnej. Pozatem okres wystawy hodowlanej dzięki licznym atrakcjom, które w tym czasie na Powszechnej Wystawie Krajowej będą się odbywały, zgromadzi również liczne rzesze zwiedzających bezpośrednio z rolnictwem nie związane.

Spłonął wraz z autem. Z Torunia donoszą: Onegdaj nad ranem na szosie pod Czarlinem powiat Tczew, jadący samochód z trzema pasażerami uległ katastrofie. Właściciel samochodu, kupiec Ewartowski z Nowego-Miasta, będący w stanie nietrzeźwym, w pewnej chwili usunął szofera i sam wziął w ręce kierownicę. Auto kierowane niepewną ręką wpadło na przydrożne drzewo, rozbiło się i w mgnieniu oka stanęło w płomieniach. Szofer i jeden z pasażerów wyszli bez szwanku, natomiast drugi pasażer doznał okaleczeń i skomplikowanego złamania nogi. Ewartowski wskutek uderzenia o drzewo auta wbił się klatką piersiową w kierownicę, a ponieważ nie można go było wyciągnąć, spłonął wraz z samochodem.

Przygoda Pana Prezydenta. Podczas przejazdu P. Prezydenta Rzpltej przez jedną ze wsi pod Krzemieńcem miała miejsce wzruszająca przygoda. W pewnem miejscu na szosie samochód napotkał na przeszkodę w postaci nakrytego bielą stołu z chlebem i solą. Przy stole stała staruszka Ukrainka Olena Gawryluk. P. Prezydent polecił zatrzymać samochód, wysiadł, a wówczas staruszka z głębokim ukłonem ucałowała go w rękę i poli zek. P. Prezydent zapytał staruszkę, czego sobie życzy. Odpowiedziała, że niczego już w życiu nie pragnie, tylko chciała zobaczyć „naszego Pana Prezydenta i pobłogosławić jego pracy dla dobra naszego kraju". P. Prezydent, ucałowawszy Gawrylukową i pożegnawszy się z nią serdecznie, odjechał w dalszą drogę. Należy zaznaczyć, że podczas zwiedzania Krzemieńca wraz z okolicą ludność miejscowa z entuzjazmem przyjmowała P. Prezydenta.

Katastrofa kolejowa. W dniu 18 b. m. o godzinie 8 54 rano na stacji Zdołbunowo okręgu dyrekcji radomskiej, linji Kowel Mohylno pociąg towarowo-pospieszny, jadący od strony Równego, z powodu nieprawidłowego nastawienia zwrotnicy przez zwrotniczego wjechał

na zamknięty tor, wskutek czego nastąpiło uszkodzenie tendra parowozu i ośmiu wagonów towarowych. Zabici zostali kontrolor eksploatacyjny oddziału eksploatacyjnego w Kowlu, Kiciński, który jechał w wozie służbowym za parowozem, przewodnik wagonów Kowalczyk i robotnik III oddziału mechanicznego Tomczuk, ponadto dwie osoby zostały ranne. Uszkodzone wagony ładowane były rudą, drzewem i kamieniami.

Postrzelenie chłopca. W ubiegły czwartek poruszyła wieś Wilkołaz, pow. Janów lubelski, ohydna wiadomość o zbrodni, jakiej się dopuścił gajowy Patyk i jego żona. Dwaj bracia, mieszkańcy wsi Wilkołaz część I., Józef i Ludwik Karamon, poszli do lasu ordynacji hr. Zamojskiego zbierać grzyby, gdzie natknęli się na gajowego, który szedł ze swą żoną. Ten bez żadnego powodu strzelił do chłopców i jednego z nich ciężko poranił, a drugiego obezwładnił, któremu żona jego zadała cięcia nożem. Gajowego Patyka i jego żonę aresztowano. Śledztwo w toku.

Kainowa zbrodnia. Z Lublina donoszą: We wsi Przypisywka pow. lubelskiego wynikła krwawa bójka na noże na tle zatargu majątkowego pomiędzy mieszkańcami tejże wsi Andrzejem Wolińskim, jego synami Leonem i Aleksandrem z jednej, a bratem Andrzeja Franciszkiem Wolińskim i jego synami Janem i Bronisławem z drugiej strony. W wyniku bójki Jan został zabity, a Franciszek i Bronisław Wolińscy ciężko ranni. Andrzeja Wolińskiego wraz z synami aresztowano. W czasie aresztowania mieszkańcy wsi usiłowali nad sprawcami mordu dokonać samosądu, czemu z trudem policja przeszkodziła. Straszna ta zbrodnia wywołała w całej okolicy przygnębiające wrażenie.

Rozstrzelanie atamana ukraińskiego. Gazety codzienne donoszą z Charkowa, że GPU. rozstrzelało znanego na Ukrainie przewódcę powstańców atamana Tiutiunnika, który po stłumieniu powstania w r. 1921 przeszedł na stronę sowietów i otrzymał zupełną amnestję. Rząd sowiecki, obawiając się wpływów Tiutiunnika na Ukrainie, zapewnił go, że mu nic nie grozi, przyczem ofiarował mu wysokie stanowisko w armji ukraińskiej. Kiedy Tiutiunnik znalazł się w Charkowie, władze oddały go pod ścisły nadzór GPU. i zrobiły z niego zakładnika, grożąc, że w razie wybuchu powstania na Ukrainie Tiutiunnik będzie rozstrzelany. Obecnie władze sowieckie, obawiając się, że Tiutiunnik stanie na czele oddziałów powstańczych, które się ukazały w różnych częściach kraju, rozstrzelały go wraz z 8 jego zwolennikami, którzy, według dochodzenia GPU., mieli przygotowywać powstanie w samym Charkowie.

Dwadzieścia miljonów chorych. Stosunki, panujące w Rosji sowieckiej wciąż nie są jeszcze dostatecznie znane światu. Co pewien czas jednak w prasie europejskiej i amerykańskiej pojawiają się artykuły, rzucające snop światła na warunki życia w komunistycznym raju. Ostatnio w prasie angielskiej i amerykańskiej ukazało się spokojne w tonie lecz straszne w swej wymowie sprawozdanie lekarza amerykańskiego, doktora Gautta, który odbył półroczną podróż naukową po Rosji sowieckiej. Dr Gautt podaje, że różne choroby srożą się w Rosji z niebywałą szybkością. Na trachomę choruje około miljona ludzi, na malarję około 4 miljony, a ze stwierdzoną gruźlicą jest w Rosji obecnie dotkniętych około 15 miljonów ludzi, razem więc prawie 20 miljonów chorych, którzy nie mają dostatecznej pomocy lekarskiej. Jeśli do tego dodać jeszcze olbrzymi procent zapadających na choroby weneryczne, to wtedy dopiero będziemy mieli obraz stanu zdrowotnego Rosji.

Atak szczurów w teatrze. Z Moskwy donoszą, że w ostatnich czasach w teatrach moskiewskich pojawiły się ogromne ilości szczurów. W teatrze podczas przedstawienia kilkadziesiąt wielkich szczurów zaatakowało publiczność, przyczem dwie osoby zostały silnie pogryzione. Pewna kobieta, która przyniosła do teatru torebkę z ciastkami, broniła się przez dłuższy czas przed atakiem kilkunastu wygłodniałych gryzoniów.

Wąż w sypialni. O ciekawym wypadku donoszą z Berlina. W mieszkaniu pary małżeńskiej Kolinów, która właśnie dopiero co wróciła od ślubu wypełzł z pod łóżka wąż długości około 2 metrów i przemierzywszy pokój i przybyłych zniknął pod szafą.



Krzyki śmiertelnie przerażonej pary Kohnów zmobilizowały do walki z gadem służącą, stróża kamienicznego i sąsiadów uzbrojonych w pogrzebacze, szczotki i kije. Rozpoczęło się polowanie. Sam Kohn, stróż i służąca usiłowali kijami wypłoszyć węża z pod szafy. Gdy ciężką szafę odsunięto, przekonano się, że kijami porysowano jedynie podłogę, wąż zniknął. Zdołał on niepostrzeżenie ukryć się w jednym z kątów mieszkania i tam znaleziono go po dłuższych poszukiwaniach, zwiniętego w kłębek. Zaatakowany wąż z wielką chyżością wypełzł na balkon i począł owijać się koło barjery balkonu. Tutaj służąca uderzyła go pogrzebaczem tak silnie, że odcięła mu 20 centymetrów ogona. Wąż ranny spadł z balkonu na chodnik. Na ulicy powstało małe zamieszanie na widok gada, który tymczasem z pospiechem począł przemierzać ulicę. W tej chwili nadjechał samochód, a szofer, zwykle mało zwracający uwagi na przechodniów, przejechał całym pędem węża, odcinając mu dalsze 20 centymetrów ogona. Okazało się, ze przez dzisiejszą ulicę wielkiego miasta nawet wąż nie zdoła prześlizgnąć się bezpiecznie. Dowlókłszy się do drugiego chodnika, wąż padł martwy z ran i wyczerpania. Stwierdzono, że piękny ten okaz zbiegł z urządzonego na dachu jednej z sąsiednich kamienic amatorskiego ogrodu zoologicznego.

Skarby w smoczej jamie. Ostatnio w bułgarskiej miejscowości Braca odbył się niezwykły proces, którego tło godne średniowiecza jest dziwnie kontrastujące z cywilizacją dwudziestego wieku. Kilku chłopców w tamtejszej okolicy rozgłosiło, iż w pewnej jaskini górskiej, niedaleko wsi, mieszka smok, ziejący ogniem, który strzeże ogromnego skarbu. Skarb ów, jak chłopi mieli już wyśledzić, składał się z ośmiu wagonów złota, złożonych w czterech ogromnych stertach oraz 20 wiader pełnych klejnotów i szlachetnych kamieni. Oczywiście chcąc wejść w posiadanie tych skarbów, trzeba było stoczyć walkę ze smokiem, a do tego potrzebne były odpowiednie środki. Ażeby przedsięwzięcie przeprowadzić szczęśliwie, postanowili chłopi przyjąć do spółki swoich znajomych, którzyby interes poparli bądź to brzęczącą monetą, bądź też środkami w naturze. Założono towarzystwo do eksploatacji smoczych skarbów, do którego wszedł nawet pewien emerytowany pułkownik,

wdowa po popie i kilku włościan. Emerytowany pułkownik miał podjąć się głównego dzieła, mianowicie walki ze smokiem. Oczywiście, dał też i gotówkę. Wdowa po popie dostarczyła znacznej sumy pieniężnej, która służyć miała do zaopatrzenia wyprawy w należyty rynsztunek Szereg innnych osób przyczyniło się też do zrealizowania tego... bajecznego interesu. Szajka wystarała się tymczasem o paszporty i gotowała się, ażeby po wyeksploatowaniu naiwnych wspólników uciec za granicę. Ale zamach nie udał się w ostatniej chwili. — Machinację odkryto całkiem przypadkowo. Oto żona pułkownika, przeglądając jego papiery, znalazła testament świeżo napisany, w którym pułkownik rozporządził swą fortuną na wypadek śmierci w walce ze smokiem. Walkę tę brał nawet tak na serjo, że sprawił sobie maskę gazową dla ochrony przeciw smrodliwym wyziewom smoczym.

Projekt sztucznego morza na Saharze. W Paryżu dyskutowano niedawno nad projektem utworzenia sztucznego morza śródziemnego w Saharze algeryjskiej i tuniskiej. Mówiono o przemianio Sahary na jezioro, położone poniżej powierzchni morza na przestrzeni 47.000 mil kwadratowych. Jeszcze w połowie ubiegłego stulecia istniał podobny projekt. W r. 1873 kapitan francuskiej armji Roudaire zwiedził konno pustynne niziny, leżące poniżej powierzchni morza, a roztaczające się od zatoki Gabes w Tunisie na przestrzeni 30 mil angielskich. Wynikiem jego badań był projekt połączenia tych nizin z morzem Śródziemnem przekopanem na powierzchni 13 mil angielskich. Prowadzone pod protektoratem francuskiego ministerstwa wojny dalsze studja lokalne stwierdziły związek między poziomem wód w zatoce Gabes a poziomem w słonych bagnach i jeziorach, znajdujących się na dnie tych niżów. Technicznie projekt ten nie przedstawia wielkich trudności. Chodzi tylko o to, czy takie sztucznie skonstruowane płaszczyzny wodne odniosą skutek, usprawiedliwiający wielkie koszta i trudy, czy wpłyną na zmianę klimatu, czy sprowadzą pożądane deszcze. Na to pytanie uczeni, zajmujący się sprawą nawadniania Sahary, odpowiadają przecząco.

Straszliwy wybuch wulkanu. W ubiegły wtorek rano nastąpił ponowny gwałtowny wybuch wulkanu Komaga Tagu w Japonji, który wznowił swą czynność od pewnego czasu. Z wnętrza wulkanu zostały wyrzucone olbrzymie masy lawy i popiołu. O sile wybuchu świadczy fakt, że elektrownia oddalona o kilka kilometrów od krateru została zupełnie przysypana popiołem. Dotychczas stwierdzono śmierć przeszło 100 osób, istnieją jednak obawy, że liczba ofiar jest znacznie większa. Z okolic zagrożonych wywieziono pociągami przeszło trzy tysiące osób. Z miastem Hakodate zostały wszystkie połączenia zerwane. Wojska pracują usilnie nad naprawieniem linij kolejowych i uruchomieniem połączeń telefonów polowych. Podczas wybuchu wulkanu Komaga-Take trzy wsie zostały zupełnie zasypane. Większa ilość mieszkańców nie zostala jeszcze znaleziona. Tak samo zaginęła ekspedycja teologiczna, która została zaskoczona przez wybuch. Żniwa oraz wszystkie zapasy żywnościowe zostały zupełnie zniszczone. Ludność jest poważnie zagrożona katastrofą głodową, jeżeli nie uda się zawczasu dowieźć potrzebnych zapasów żywności.

Ludożerstwo w Chinach. Donoszą tu, że głód panujący w zachodnich prowincjach Chin doprowadził do tego, że ludożerstwo stało się zjawiskiem zwykłem. Szajka bandytów napadła na jedną ze wsi i uprowadziła kilkanaście osób. Przypuszczano dotąd, że uprowadzenie miało na celu otrzymanie wykupu, obecnie jednak znalezienie resztek niedojedzonych ciał ludzkich wyjaśniło istotną przyczynę napadu. Przed napadami kannibalów mieszkańcy ochraniają się strażą zbrojną.

Złoto na Filipinach. W odległości 50 klm. od Manili, tam, gdzie z gór wypływają dzikie fale rzeki Augat, odkryto niedawno bardzo bogate pokłady złota. Próby kruszcu wypadły tak korzystnie, że inżynierowie górniczy twierdzą, iż chodzi conajmniej o 20 złotodajnych żył i mówią o nowem Eldoradzie. Odkrywca tych żył, inżynier Jerzy Cushing, oświadczył dziennikom, że nawet żwir znajdujący się w rzece Augat jest złotodajny i że jedna tona tego żwiru ma wartość 60 do 80 tysięcy złotych. Te cyfry przewyższają już znacznie przeciętną rentowność nowej kopalni złota. Ciekawem jest, że odkrycie inż. Cushinga nie wywołało na Filipinach zwyczajnej w takich wypadkach gorączki złota. Niema zupełnie tego napływu górników i kopaczy z całego świata, jak to się działo swego czasu w Kalifornji a także w południowej Afryce. Prawo eksploatacji zastrzegli sobie inżynierowie-odkrywcy a rząd uznał w zupełności te prawa. Okoliczni mieszkańcy siedzą spokojnie w domu i nie mają żadnych pretensyj do złotodajnych żył. Ale nie wiadomo, czy ten nastrój długo się utrzyma!

Omal go nie zabalsamowali. Bogaty kupiec z Santa Clara na Kubie, Jose Martinez Mejia znaleziony został pewnego pięknego poranku w swem łóżku bez znaku życia. Domownicy, przejęci nagłym zgonem, zaczęli przygotowywać pogrzeb. Ciało nieboszczyka postanowiono zabalsamować i w tym celu zwłoki odesłano do zakładu, gdzie miano ciało uczynić odpornem na ząb czasu. Zanim jednak specjaliści zabrali się do pracy, stał się — rzadko w tym fachu spotykany — cud.



Nieboszczyk ożył. Podniósł się, a widząc specjalistę z nożem, zamierzył się na niego, domyślając się dla siebie jakiegoś niebezpieczeństwa. Właściwie miał miejsce nie tyle cud, co wypadek letargu, który omal nie skończył się dla Josego tragicznie, gdyby w sam czas nie zdążył się przebudzić.

Jak karzą w sądach amerykańskich. Pan John Cabe w Nowym Jorku przyznał się w sądzie, że bił swoją małżonkę. Sędzia dał mu do wyboru, że przez 6 miesięcy codziennie rano pocałuje swoją żonę lub posiedzi 6 miesięcy w kozie. Pan John jednak wolał swą żonę całować, niż w kozie siedzieć.

Człowiek, który śpi 9 lat. W roku 1920 Amerykanin nazwiskiem Jonjon zachorował ciężko. Po kilku dniach chorego opanowała ogromna senność. Usnął i śpi już kilka lat. Od roku 1920 śpi twardo, budząc się tylko codziennie rano na śniadanie, które mu wlewają w usta. Lekarze już dawno skazali dziwnego chorego na śmierć, tymczasem chory ciągle jeszcze żyje, tylko śpi. Jonjon usnął, mając lat 33, jest bogatym kupcem i żona jego ciągle się nim opiekuje.

RZECZY CIEKAWE.

Siódmy syn.

W Argentynie jest zwyczaj, że prezydent trzyma do chrztu siódmego syna każdego obywatela państwa, choćby w danym wypadku chodziło o najbiedniejszego człowieka. Przy tej sposobności wysoko postawiony ojciec chrzestny daje malcowi złoty medal.

Na tem właśnie tle zdarzył się bardzo kłopotliwy wypadek. Było to w rodzinie Włocha Massa, który mieszka w Argentynie już od lat 23, a od r. 1913 jest żonaty. W ciągu tych szesnastu lat urodziło mu się sześciu synów, a i matka i chłopcy wyglądali tak dobrze, że śmiało można było liczyć, iż rodzina Massa będzie obchodzić następne chrzciny z prezydentem państwa.

To też, gdy wszystko zdawało się zapowiadać, iż te chrzciny nadchodzą, w domu Massa zapanowało dziwne podniecenie, nie zdawano sobie bowiem sprawy, czy tym razem będzie córka, czy też syn. Nadszedł jednak dzień rozstrzygający i zamiast jednego syna urodziły się trojaczki. Obecna przy porodzie akuszerka tak dalece przejęła się wypadkiem, że nie zdołała zapamiętać, który chłopiec na świat przyszedł pierwszy. Powstała więc trudność nielada, prezydent bowiem w żaden sposób nie może zorjentować się, kto właściwie ma być jego chrześniakiem.

Ponieważ rozstrzygnąć sprawę pierwszeństwa jest w tym wpadku bardzo trudno, więc opinja publiczna domaga się, by prezydent był ojcem chrzestnym wszystkich trzech malców, i każdemu z nich medal złoty ofiarował.

Papieskie podróże.

Od 60 lat uważano papieży za dobrowolnych więźniów Watykanu, nie odbywających nigdy podróży po świecie. Większość katolicka mniemała, że papieże wogóle w Rzymie tylko siedzą niby więźniowie.

Tymczasem więźniów takich było zaledwie trzech, podczas gdy historja Kościoła notuje 268 następców św. Piotra, którzy zasiadali na tronie w przeciągu blisko już 2000 lat.

Do roku 800 biskupi rzymscy byli poddanymi rzymskich, potem wschodnio - rzymskich cesarzów. Papieże wtedy musieli często wyjeżdżać na rozkaz cesarza, to do Konstantynopola, to do Chalcedonu itd. na konsylja. W r. 710 poraz ostatni bawił w Konstantynopolu namiestnik św. Piotra, od r. 800 od 1177 Papieże byli już poddanymi władców francuskich, względnie niemiecko-rzymskich cesarzów.

Przez całe średniowiecze Papieże byli w nieustannych podróżach.

Od r. 726 Papieże osiągnęli władzę świecką i poczęli ją rozszerzać albo zapomocą sojuszników albo walk. Walki te zmuszały ich do przenoszenia często stolicy Piotrowej. Bywały rezydencje papieskie w miastach Viterbo, Anagni, Perugja, Neapol, Piza, Florencja i Werona. Wielu Papieży, jak Grzegorz VII. Innocenty III, Bonifacy VIII musieli umrzeć zdala od Rzymu.

„Ponieważ ukochałem sprawiedliwość, umieram na wygnaniu!" — oto napis na sarkofagu Grzegorza w katedrze w Salerno.

Poza Włochami, dwa tylko kraje mogą się poszczycić bytnością Papieża, a mianowicie Francja i Niemcy. Cały szereg wycieczek papieskich zagranicę rozpoczął Stefan II, w r. 753 wyjazdem do Paryża, by tam ukoronować ojca Karola Wielkiego, Pepina. W jedenaście wieków później Pius VII koronował w Paryżu Napoleona.

Na dwóch wielkich Koncyliach prezydował Papież w Lyonie, a mianowicie w latach 1248 i 1274, a już od r. 1309 do 1378 papieże rezydowali w Awinionie.

Wspaniała była wizyta Papieża Klemensa VII we Francji. Piękne przystrojone galery przewiozły go i jego siostrzenicę, Katarzynę Medyceuszkę w r. 1535 w październiku w Civitavecchia do Marsylji, gdzie papież zatrzymał się w opactwie św. Wiktora. Następnego dnia przyjechał król Franciszek I., a papież dał ślub siostrzenicy z następcą tronu.

W jaskrawem przeciwieństwie z tem przyjęciem stoi porwanie śmiertelnie chorego, 82-letniego Piusa VI przez żołnierzy francuskich i przewiezienie go z Rzymu do Walencji, dokąd przybył prawie umierający. Następca jego, wybrany w Wenecji Pius VII, musiał w r. 1804 ukoronować Napoleona koroną cesarską, a w 9 lat później został siłą dostarczony do Fontainebleau, gdzie otrzymał rok czasu do namysłu w sprawie podpisania konkordatu.

Sale w Fontainebleau, gdzie wówczas przebywał Pius VII, są dotychczas nietknięte.

Od owego czasu t. zn. od 115 lat, żaden już z papieży nie opuszczał Włoch. Aż dopiero teraz po zawarciu ugody z Włochami może Ojciec św. wyjechać z Watykanu, kiedy chce i dokąd chce.

Wyścigi... świń.

Znane były dotychczas wyścigi koni, psów, automobilowe, motocyklowe, wreszcie lotnicze, ale widocznie te wszystkie rodzaje są za mało sensacyjne, skoro w Meksyku czyni się przygotowania do wyścigu... świń. Organizacja ich będzie polegała na tem, że wygłodzone zwierzęta pobudzi się do biegu usuwaniem im z przed nosa smakowitego pożywienia. Także i tutaj rozwinie się swego rodzaju totalizator. Już dziś czynione są zakłady.

Jad węża i nauka.

Działanie jadu węża, zaczyna dzięki nauce, stawać się coraz to mniej groźnem, zwłaszcza dzięki pracom uczonym instytutu higjenicznego w Buenos Aires. Te nadzwyczaj ciekawe badania, szły bardzo prostym torem. Zwrócono najpierw uwagę mianowicie na to, że niektóre zwierzęta są z natury odporne na ukąszenie jadowitych wężów, a zwłaszcza te, które właśnie tępią węże, jak osławiony ichneumon, tchórz, jeż, lis, po części kot, świnia i bocian. Dalej przekonano się, że człowiek, który ozdrowiał po ukąszeniu węża, jest potem na dalsze ukąszenia odporny, co doprowadziło do wytwarzania sztucznego surowca przeciw ukąszeniu i to w ten sposób, że zwierzę doświadczalne (zwykle konia) poddaje się stopniowo coraz to silniejszym i liczniejszym ukąszeniom, względnie wstrzykuje się mu dawki jadu, przez co zwierzę fabrykuje w sobie przeciwtrutki, które potem z doskonałym skutkiem stosuje się innym osobnikom, względnie człowiekowi, po wydobyciu ich z krwi doświadczanego konia.

Jad wężów egzotycznych działa szybko i o wiele groźniej, niż naszych żmij, po ukąszeniu których śmiertelność jest znacznie mniejsza i wynosi (bez leczenia) około 14 proc. u dzieci, przyczem objawy są mniej gwałtowne, tak, że zwykle jest dość czasu na zawezwanie lekarza i ratunek. Jad wężów zawiera głównie dwie gwałtowne trucizny. Pierwsza powoduje porażenie nerwów, oddechu i serca, a druga rozkłada krew, wywołując krwotoki i wylewy krwa-

we w tkankach. Wobec stosowania leczenia surowicami, śmiertelność od ukąszeń wężów w Brazylji i Indjach zmniejszyła się znacznie, bo gdy dawniej wynosiła ona 25 proc., to obecnie spadła na 2,5 proc., co stanowi ogromny triumf nauki. Obecnie wyrabia się już surowicę przeciw wszelkim jadom rozmaitych wężów wspólnie, uzyskane równocześnie z kilku jadów rozmaitych wężów.

Węże zwykle nie rzucają się na człowieka, a nawet uciekają przed nim, wpadając za to we wściekłość, gdy się je drażni lub nastąpi na nie. Następne ukąszenia z powodu braku jadu są już mniej szkodliwe, a po 5—6 ukąszeniach zupełnie nawet nie są jadowite. Znakomitemi tępicielami wężów okazały się psy fox-terriery odpowiednio tresowane, zwłaszcza że są one dość odporne na jad.

Ratować należy głównie w ten sposób, że podwiązuje się daną część ciała, by jad nie szedł do krwi, a ukąszonemu podaje się aż do przybycia lekarza, wino i mocną czarną kawę, celem podtrzymania akcji serca.

Odpowiedzi Redakcji.

Jan **Żmuda** w Chicago: Obszerny list Pański przeczytaliśmy z całą uwagą i z większością jego twierdzeń zgadzamy się zupełnie. Jedno tylko zasadnicze zastrzeżenie zrobić musimy w odniesieniu do kolejarzy i urzędników. Nie przeczymy, że są tacy, jak Pan twierdzi, ale na szczęście są to tylko wyjątki. Większość kolejarzy spełnia swe obowiązki sumiennie, a do stron odnosi się z całą uprzejmością. Autami jeżdżą tylko dygnitarze, zwykły urzędnik nieraz pędzi piechotą, gdyż go nie stać na tramwaj. W urzędach państwowych urzędnicy pracują od 8 do 3-ciej i niejednokrotnie przekonałem się, że pracują bardzo sumiennie. Inaczej dzieje się w niektórych urzędach komunalnych, gdzie rzeczywiście, niektórzy, ale tylko niektórzy, przepędzają czas na herbatkach i przechadzkach. Liga Narodów mogłaby dużo zrobić, ale czy zrobi, to pytanie. Doradca był koniecznością, gdyż inaczej nie danoby nam pożyczki. Kosztuje on dużo, to prawda, i nie można wątpić, iż znaleźliby się i w Polsce ludzie, którzy lepiejby od niego doradzać potrafili. Patrzy on niejako na palce tym, którzy pożyczonemi pieniądzmi zarządzają. Najsłuszniejszem jednak twierdzeniem Pańskiem jest sprawa religji i oświaty. Oświata, nie oparta na głębokiej religji, nigdy przynieść nie może narodowi prawdziwej korzyści. Że wspomniani posłowie dążą do wyrugowania religji ze szkoły i że chcą rozdziału Kościoła od państwa, to prawda. Czynią oni źle, ale winni tu i wyborcy, że takim posłom nie natrą uszu i nie napędzą ich z sejmu. Lecz Polska nie jest osamotniona pod tym względem; takich posłów mają i inne państwa, jak również mają i komunistów. Głupich nigdzie nie brak. Łączymy serdeczne pozdrowienia i prosimy o dalszą pamięć. — Józef **Kowalik** w K.: Nadesłany wierszyk zupełnie dobry, ale co do terminu drukowania go nic stanowczego powiedzieć nie możemy, gdyż wierszy mamy wielki zapas. Co do poprzednich odpowiedzieliśmy zaraz po ich otrzymaniu. — **Janczarek** w W.: Kaśka spuchła od języka do stop, musi więc jeszcze milczeć. Narazie boimy się przypuścić jej do głosu, boby mogła pęknąć. — Piotr **Wenc** w Ś.: „Legendę o zbożu" otrzymaliśmy — dobra. Jan **Dyląg** z W.: Za przysługę dziękujemy. Może się uda Panu więcej zjednać dla „Roli".

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożyła Bronia z Naprawy).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Nazwa kwiatu wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miary.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto zagraniczne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto stołeczne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gatunek dyni.

Początkowe litery czytane z góry dadzą nazwę pewnego zawodu.

2. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

O drugiej i pierwszej podanie nam głosi,
Że dla dobra kraju oddała swe życie.
Imię wspak trzy, trzecie, białogłowa nosi,
Zaś druga i trzecia służy nam na mycie.
Kaśka Myrdalonka, która gada w „Roli",
To wzorowa pierwsza i druga bez końca.
Cała na piaszczystej rosnąć glebie woli
I swemi kwiatkami wdzięczy się do słońca.

II.

Małe dziecko pierwsze drugie,
Często wypowiada,
Trzeci swoje pomieszkanie,
We wodzie posiada.
Wspak trzecia i pierwsza często
Mieści ogłoszenia
Pierwszy, drugi, część trzeciego,
Człowiek bez sumienia.
Druga i trzecia bez końca,
Wyraz w handlu dobrze znany,
Cały jest do pospolitych
Roślin zaliczany.

3. Przestawianki.

(Ułożył Jan Gara z W.).

I.

Zło ma Pankracy E. i beczy.

II.

Kot je ciecz w maju od Em. Zwoniemiegi.

III.

Dzidzi E. wini nici w polu.

IV.

I burak na bary bierzy.

V.

Kołodziej U. Czez pana gra.

Powyższe wyrazy przestawić w ten sposób, aby utworzyły pięć znanych przysłów.

4. Kalambury.

(Ułożył H. Bilka-Głębicki).

I.

Gdy rzeka z nowiną w jednym rzędzie stają,
Jeśli jest ciekawa, chętnie je czytają.

II.

Gdy kogoś żegnam, mam liczby przy sobie,
A jestem potrzebna każdej osobie.

5. Układanki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Szata liturgiczna + spółgł. + zaimek = państwo w Europie.

Djabeł w obcym języku + spółgł. + zaimek = miasto polskie.

Agencja + konanie = kraj w Ameryce.

Spółgłoska + niewiasta z Biblji = rzeka.

Zwierzę + spółgłoska + zaimek = kraj w Europie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6 lipca br.

Znaczenie zagadek z Nru 24 „Roli": 1) Logogryf: Nowa Kaledonja. 2) Szarady: I. Kapota. II. Karabin. III. Papierosy. 3) Kwadrat magiczny: Barak-agawa-rabin-awizo-kanon. 4) Układanki: Kossak. Sok. Pastor. Kulawy. Popas. Lewkonje. Pokora.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp. Jakób Jeziorański z K., Adam Galer z K., Józef Weber z K., Jan Weber z K., Józef Topolski z B., Józef Górecki z K., Stefan Jaworski z P.

Nagrody wylosowali pp.: Józef Weber z K. i Józef Topolski z B.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W restauracji, gdzie usługują panny.

Gość (gniewnie): Cóż tu u was za porządek! Nawet wykałaczek do zębów niema!

Panna (rezolutnie): A, to już, proszę pana, sami panowie temu winni, bo, zamiast sobie wydłubać w zębach i wykałaczki kłaść na swoje miejsce, to je wyrzucają!...

Zręczne upomnienie.

— Będąc na jarmarku, widziałem jegomościa, który mi całkiem pana przypominał.

— Tak? Był do mnie podobny?

— To nie, ale mi także długu nie oddaje.

W sądzie.

Sędzia: Dlaczego obwiniony wymierzył oskarżonemu policzek, skutkiem którego powstała w szynku bójka ogólna?

Obwiniony: Przecież musiał ktoś zacząć, panie sędzio...

W banku.

Pan bankier Szwindelmacher, który przyjął chłopca do obsługi telefonu, objaśnia mu o obchodzeniu się z aparatem, machając rękami:

— Uważaj sobie, to jest bardzo proste: najprzód przychodzisz do telefonu i jedną ręką bierzesz słuchawkę do ręki, potem przykładasz ją do ucha, a drugą ręką mówisz...

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 11 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·28 do 1·90 zł.	Jałownik	od 1·10 do 1·90 zł.
Woły . .	od 1·37 do 1·90 zł.	Cielęta .	od 1·38 do 2·30 zł.
Krowy .	od 0·83 do 1·82 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·30 do 2·77 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·00 do 3.70

Giełda płodów rolniczych

z dnia 21 czerwa b. r.

Pszenica .	40·00—45 00	Słoma długa	8·00—8·50
Żyto .	25·00—25·50	Ziemniaki stoł.	6·00—7·00
Owies . .	26 00—27·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	25·00—26·00		
Fasola biała	120·00—130·00	Mąka żytnia	43·00—44·00
Groch zwyk.	50·00—53·00	Mąka pszen.	76·00—76·50

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.